№ 8. Warszawa, dnia 10 (22) Lutego 1879 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

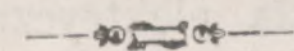
PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

TOMASZ ALVA EDISON.

PRZEZ

J. Belejowską.



(Dokończenie).

Wśród licznych pracowników zapełniających laboratoryum, znajduje się jeden ubrany tak skromnie, a postawa jego tak pełna prostoty, iż bynajmniéj nie zwraca na siebie uwagi — a przecież to sam genialny wynalazca; wszyscy otaczający go to biegli tylko pomocnicy, którym porucza niektóre podrzędniejsze doświadczenia. Z pierwszego wejrzenia, Edison wydaje się młody, ale przypatrzywszy się lepiéj widzimy, że twarz poorana jest głębokiemi zmarszczkami. W czarnych, bezładnie na czoło spadających włosach, przebijają jakby srebrne nitki; na rękach widać plamy spowodowane kwasami; ubiór cały zdradza że kupiony jest gotowy a nie zrobiony podług figury. Z powierzchowności możnaby Edison'a wziąść za robotnika, a bladość twarzy każe wnosić że pracuje po nocach. Twarz dość szeroka, czoło dobrze ukształtowane nie jest zbyt wysokie, oczy jasno siwe, nos nieregularny, usta szerokie z po za których ukazują się nie bardzo równe zęby; gdy podniesie oczy aby spojrzéć na kogo, zdaje się że uwaga jego rozbudza się powoli, jakby odrywana od jakiegoś przedmiotu do którego była przykuta. Ale spojrzenie jego jest czyste i sympatyczne, wyraz twarzy pociągający i otwarty. Gdy zacznie rozmawiać, miły uśmiech zastępuje poważny zwykle wyraz twarzy i odbijające się w niéj ślady znużenia, a genialny wynalazca który w pierwszéj chwili zdawał się starym, wygląda teraz jak uczeń zadowolniony że odrobił swoje zadanie.

Jeźli gość przybywający tyle tylko wié o Edison'ie iż tenże wynalazł fonograf, laboratoryum jego gotuje mu niezliczone niespodzianki. Na posadzce leżą rozłożone części „megafonu" to jest olbrzymiéj trąbki do podawania daleko głosu, opatrzonéj dwoma przyrządami akustycznémi. Dwie osoby posiadające podobny przyrząd, mogą rozmawiać z sobą zwyczajnym głosem, z odległości kilku kilometrów. „Z owéj doliny roztaczającéj się za tym czerwonym domem, objaśnia wynalazca, wskazując ręką w jeden koniec wioski, można słyszéć cichy szept." Jednak po dziś dzień, megafon przedstawia jeszcze tę niedogodność, iż oprócz głosu rozmawiających z sobą osób, chwyta wszelkie dochodzące do niego odgłosy, a nawet świergot ptaków i ryk bydła pasącego się na łące, i dla tego doświadczenia najlepiéj udają się w pośród nocnéj ciszy.

Tuż obok leży plan „aerofonu" to jest przyrządu wydającego głos silniejszy sto pięćdziesiąt razy od najsilniejszego głosu ludzkiego. Celem jego jest możliwość udzielania przestróg, z nadbrzeżnych strażnic, okrętom znajdującym się na morzu. Zasada jego jest bardzo prosta — i to właśnie stanowi zaletę wszystkich niemal wielkich wynalazków Edison'a. Przyrząd ten opatrzony jest munsztuczkiem tak jak w telefonie i fonografie, ale krążek drgający, zamiast przerywać i zamykać okrąg elektryczny jak w telefonie, lub przebijać płytkę cynkową jak w fonografie, porusza powierzchnię strumienia pary, który chwyta dźwięki głosu i przenosi tak daleko jak dosięga jego siła.

Nieco daléj, pióro elektryczne kreśli litery i rysuje. Jest to sztyfcik stalowy, poruszany małym stosem, który przybija pismo na podłożony papier, i ten może następnie służyć za kliszę do setek odbić. Na tychże samych zasadach wynalazca obmyślił i wykonał przyrząd, zaopatrzony na końcu w ostro zakończony dyament, za pomocą którego można grawirować drogie kamienie.

Z kolei pokazują nam „elektro-motograf" za pomocą którego, pod wpływem bardzo słabéj siły elektrycznéj, można otrzymać w bardzo długim obrębie, działania mechaniczne, bez współudziału narzędzi elektro-magnetycznych. Zasadą tego przyrządu aby jeźli ćwiartkę trochę chropowatego papieru, nasyconą pewnémi roztworami chemicznemi, położyć na nieco wypukłéj płytce metalicznéj i przesuwać po niéj płytkę ołowianą, albo z tallium, a nawet platynową; w chwili przejścia prądu ma miejsce pewne wygładzenie powierzchni papieru, które, powodując słabsze tarcie, wytwarza działanie różne od działania objawiającego się gdy prąd nie przechodzi. a tém samém dozwala otrzymać dające się zużytkować skutki mechaniczne.

Tuż zaraz zwraca uwagę „pompa mechaniczna" elektro-magnes-diapozon, mająca dwie i pół stopy długości, a wprawiona w ruch, może wypompować dziennie prawie bez kosztu trzy albo cztery beczki wody.

Liczne są systemata przyrządów telegraficzno-chemicznych; według jednego z nich, wysyłający depeszę może przesłać telegram odtwarzający jego własnoręczne pismo. W takim razie kreśli się litery pewnym białym atramentem, bardzo wydatnie odstającym od papieru. Taż sama substancya ma służyć do przyrządu dla użytku niewidomych, którzy, jak wiadomo, czytają za pomocą dotykania.

Daléj jeszcze widzimy już pokończone lub rozpoczęte rozliczne przyrządy i narzędzia, między innémi nożyczki elektryczne do krajania twardych materyałów; maszyna elektryczna do haftowania; przyrząd za pomocą którego przedmioty wystawiane w wystawach sklepowych, będą się ciągle obracać; pudełko gadające; ptak który może ulecieć w po-

wietrzną przestrzeń przeszło tysiąc stóp; fonomotor w którym koło opierające się potędze najsilniejszego dmuchania, z łatwością daje się wprawić w ruch samym dźwiękiem głosu.

Wyliczamy tu niektóre tylko przyrządy, tak urzeczywistnione jakotéż dopiero w zarodzie, dają one pojęcie o pracach dokonywanych w tém laboratoryum, które można uważać za miejsce najgodniejsze widzenia na całym świecie, a przewodniczącego licznym pracownikom wynalazcę, za dobroczynny geniusz, przed którym należy pochylić czoło z poszanowaniem. Widzimy że wielkiego powodzenia swego, Edison nie zawdzięcza jakiejś szczęśliwéj szansy, będącéj wynikiem prac w jednym kierunku podjętych; nikt dotąd nie był obdarzony tak genialnym darem do najróżnorodniejszych odkryć i wynalazków, ale nikt téż może nie pracował tak bez wytchnienia. Gdy wynalazek jakiś zaświta w jego umyśle, o całym dla niego zapomina świecie. Pewnego razu, w Newmark, wszedł do swych warsztatów pomieszczonych na wyższém piętrze, z powodu że jakaś maszyna drukarska którą zobowiązał się dostawić, nie dała się wprawić w ruch, i oznajmił że nie zejdzie dopokąd ona nie zacznie funkcyonować; pracował bez przerwy przez sześćdziesiąt godzin, póki maszyna nie zaczęła iść dobrze — dokonawszy co postanowił, spał przez trzydzieści godzin, we śnie szukając wypoczynku.

Wielkie fakta i wielkie pomysły zapełniają wszystkie godziny, genialnego wynalazcy — nikt może inny nie mógłby pracować na tak rozległém polu naukowém i zarazem na tak wielką skalę, gdyż obok wynalazczego geniuszu, potrzeba na to olbrzymich nakładów. Całe tak rozległe jego warsztaty, zajęte są nietylko wytwarzaniem i puszczaniem w świat wielkich wynalazków, mających ogromne przynosić zyski — choć te zazwyczaj nie chybiają prędzéj czy późniéj — ale wyprobowaniem i udoskonaleniem nowych kombinacyi, których zadaniem wydzierać stopniowo naturze tajemnice i siły które kryje tak zazdrośnie.

Edison wstaje rano, odczytuje rozległą korespondencyą i schodzi do warsztatów; tu kontroluje prace licznych robotników i dogląda doświadczeń dokonywanych przez swoich pomocników; w tych doświadczeniach i wypadek odgrywa niekiedy pewną rolę. Naukowe badania wykazują wzajemne na siebie oddziaływanie różnych substancyi chemicznych, oraz fenomena objawiające się na pewnych materyach skutkiem działania sił jakiemi rozporządzamy. I tak, tabliczki z kości słoniowéj, zanurzone w pewnym oleju przez sześć tygodni, stają się przezroczyste. W wodzie zmieszanéj z trochą potassu, kulka merkuryuszu, zmienia kształt odnośnie do przeciwnych biegunów stosu, odsuwa się lub jest przyciągana, kręci się wirując, zmienia barwę lub staje się nieruchomą.

Choć rezultata podobne nie bywają natychmiastowo zużytkowane, jednak notuje się je starannie, bo w danéj chwili mogą stać się ogniwem którego właśnie brakuje do łańcucha nadzwyczaj ważnego wynalazku.

Już to, po raz tysiączny może, Edison odbywa próby ze swoim telefonem, w celu większego udoskonalenia, już to pilnuje postępu wszelkich prac rozpoczętych. lub téż oddaje się wyłącznie jakiejś jednéj, całą swą na nią skupiając uwagę.

Jednym z powodów dla których usunął się do Menlo-Park, była chęć unikniecia zbyt licznych odwiedzin — ale nic to nie pomogło; miejscowość ta stała się Mekką uczonych, reporterów i ciekawych tłumne do nich odbywających pielgrzymki. Jednego dnia pan jakiś prosi o pozwolenie przyprowadzenia kilku znajomych i przybywa w towarzystwie kilkudziesięciu osób; nazajutrz, ekstra-cug kolei żelaznéj, dostawia liczny poczet gości zapowiedzianych z Bostonu. Edison przyjmuje wszystkich nadzwyczaj uprzejmie, pozwalając przypatrywać się do woli i sobie i swoim wynalazkom. Przybysze podziwiają fonograf jak niemniéj i dobry humor jego wynalazcy.

„Obecnie, rzekł raz do kogoś śmiejąc się wesoło, przemyślam o urządzeniu przyrządu, zdolnego za dotknięciem rzucić kogoś w powietrze. Zamierzam przytwierdzić do bateryi elektrycznéj drut komunikacyjny, który rzuci na wznak każdego co odważy się zadzwonić do moich drzwi."

Za chwilę zasiada do fonografu *) przytwierdza do niego podwójny munsztuczek, przywołuje jednego z pomocników, a inny zasiada jednocześnie przy organach umieszczonych w rogu pokoju. Śpiewają na dwa głosy *John Brown's Body*. Gdy dźwięki muzyki rozlegają się w pokoju, a wzrok błąka po wszystkich otaczających przedmiotach, uczuwamy w sobie jakieś tajemnicze dreszcze: zdaje nam się że patrzymy na odbywający się jakiś dziwny, nieznany nam obrządek religijny, że słyszymy jakiś radośny śpiew marsowy, wykonany na cześć nowéj ery, pełnéj wielkich, wzniosłych obietnic, z powodu objawienia ukrytych dotąd tajemnic.

Genialny wynalazca. najcharakterystyczniéj przedstawia się wieczorem, gdyż wtédy korzystając z samotności, zazwyczaj oddaje się najważniejszym pracom, i pracuje długo po północy. I nie dziw, bo wtedy więcéj jak kiedykolwiek wszelkie wykonywane roboty, rozpoczęte rozprawy, dociekania filozoficzne, przybierają poważny charakter pozostawiający w cieniu, jako błahostki niegodne zajęcia, wszelkie sprawy życia codziennego. Zdaje się iż dosięgnęliśmy szczytu z którego można pochwycić dźwignię zdolną wstrząsnąć światem w jego podstawach. Naturalnie mamy tu na myśli wielkie umysły i genialnych myślicieli.

Autor artykułu w *Scribner's Monthly* z którego czerpiemy podane tu szczegóły, mówi, iż miał szczęście spędzić jedną noc w Menlo-Parku. Rozmawiano o możliwéj kombinacyi trzech przyrządów: telefonu, dla przesyłania depeszy: fonografu, dla odbierania jéj, i aerofonu dla przekazywania jéj daleko, głośnym głosem. Następnie mówiono o mikrofonie, będącym dla dźwięku tem czém mikroskop jest dla wzroku... Ileż to pomysłów budzi się do życia w tym długim budynku; wówczas gdy cisza i spokój otaczają go do koła! Na zewnątrz tylko skrzek żab odzywa się czasami, wewnątrz lampy płoną nieustannie, podnosząc temperaturę, a jednocześnie maszyny wykonywają swoją ciężką i wytrwałą pracę. Wtém przynoszą budujący się najzwyczaj ważny przyrząd, którego ma być zadaniem rozłożenie dźwięku na pierwiastki, podobnie jak się rozkłada światło za pomocą pryzmatu. Pewien gentleman z New-Yorku, obmyślił już filologiczne zastosowanie fonografu; proponując aby za jego pomocą przechować dyalekta indyjskie Senekasów i Tuskarorasów, które, wraz z temi plemionami. zaginą niezadługo. Lecz jeźli ten pryzmat dźwięku, pozwalamy sobie użyć tego wyrażenia — może zostać udoskonalonym, otworzyłby filologii szerokie pole działalności, w celu ograniczenia do małéj liczby prostych formuł wszelkich różnic językowych, i umożliwiłby poniekąd urzeczywistnienie wytworzenia powszechnego języka.

To znowu badano działanie termometru szczególniejszéj natury, nazwanego „mikrotatosimert" służącego do oznaczenia aż dwudziesto cztero tysiącznéj części stopnia Fahrenheit'a: można uczynić go jeszcze czulszym. Czułość węgla stanowiąca zasadę tego przyrządu, odkrytą została wypadkowo, przy robieniu doświadczeń odnoszących się do telefonu. Tak to postęp chwyta każde odkrycie, posługując się niém jak stopniem drabiny; wstępuje na niego i pociąga za sobą drabinę, aby dojść jeszcze wyżéj.

Udaliśmy się, mówi daléj autor artykułu; na miejsce w którem przygotowywują się gałki węglowe. Nagromadza się materyał w szkłach, to jest w kominkach od lamp, urządzając knot tak aby dymił jak najwięcéj; otrzymane w ten sposób sadze zamieniają się w stan stały za pomocą pressyi. Wynalazca stoi pochylony, wpatrując się bacznie w jakie pół tuzina tych lamp jakby grobowych, ustawionych w ognisku komina z wystającym naprzód daszkiem, a jego rozczochrane włosy spadające na czoło, dziwny całéj twarzy nadają wyraz i czynią go podobnym do czarownika zajętego swemi szatańskiemi sprawkami. Było już po północy; ruch maszyn ustał, znużeni pracownicy opuścili swe warsztaty. Podano wieczerzę po któréj przeszliśmy na balkon. Księżyc pełnym świecił blaskiem, przez ustawiony teleskop przypatrywaliśmy się bladéj tarczy księżyca i miriadom gwiazd rozsianych po niebie. Prześliczny to był widok. Była już druga po północy. Goście czuli się znużeni, gospodarz domu przeciwnie był coraz weselszy i rzeźwiejszy; w takich to chwilach, dzięki gorączkowemu podnieceniu spowodowanemu długiém czuwaniem, przychodzą Edison'owi jego najgenialniejsze pomysły.

Obecnie sławny wynalazca pracuje nad wytworzeniem taniego oświetlenia i gazu elektrycznego, czém nie mały wywołał popłoch między wszystkiemi stowarzyszeniami a szczególniéj akcyonaryuszami oświetlania zwyczajnym gazem. Gdyby wierzyć artykułowi ogłoszonemu w nowo-yorkskim dzienniku *Sun*, Edison miał natrafić na sposób otrzymywania światła elektrycznego, przewyższający wszelkie dotychczasowe przypuszczenia. Otrzymał już patent na swój wynalazek w Ameryce i w Anglii; dotąd tyle tylko wiadomo że otrzymywane przez niego światło ma być nadzwyczaj jasne i łagodne zarazem, jednostajne i stałe, a ma kosztować mniéj niż jedną trzecią oświetlenia gazowego. Zapala się przez posunięcie w jedną stronę gałeczki sprężynki, a w przeciwną stronę gasi. Wszystkie teraźniejsze lampy i kandelabry mogłyby być zużytkowane — słowem rezultat tego wynalazku ma spełnić wszelkie niedoścignione dotąd marzenia.

Już to wynalezienie oświetlania elektrycznością jest teraz na porządku dziennym, zajmuje się niém wielu uczonych i wiele Akademii; wyznać jednak trzeba iż w ogóle nie wierzą aby Edison zdołał pokonać zawady uważane dotąd za niezwyciężone, a jeden z najznakomitszych uczonych objawił publicznie, iż aby uwierzył w powodzenie doświadczeń sławnego Amerykanina, chciałby wiedzieć nietylko jakim sposobem tenże zamyśla dojść do zamierzonego celu, ale czy rzeczywiście dokonał już coś takiego coby usprawiedliwiało tak świetne nadzieje.

Dotąd głownie wielki koszt sprzeciwia się wprowadzeniu w użycie światła elektrycznego. Mało kto wié iż oświetlenie ulicy przy któréj wznosi się Opera; kosztuje miasto Paryż każdy bek elektryczny na godzinę 1 fr. 45 centimów. Trzymając się nawet obliczeń podanych w prospekcie *Jeneralnego Stowarzyszenia elektryczności* iż każdy bek elektry-

*) Nie podajemy opisu tego przyrządu, bo był już zamieszczony we wszystkich pismach.

czny zastępuje 100 beków gazowych rozmiaru zaprowadzonego w Paryżu (140 litrów gazu na jeden na godzinę, czemu stanowczo zaprzecza angielski inżynier, pukownik Haymood) zawsze wypada że tam, gdzie jak w wielu miastach w Anglii i w Belgii, jeden bek gazu 200 litrowy kosztuje 1 centim więc za cenę 1 fr. 45 cent. na godzinę, możnaby dostarczyć półtora raza więcéj światła aniżeli go daje za tę cenę elektryczne światło Jabłoczkowa, zaprowadzone w Paryżu.

Obecnie liczne doświadczenia dokonywane przez kompetentnych uczonych, każą mniemać, że ze względu swéj drożyzny, a zwłaszcza niepodzielności, światło elektryczne nie zdoła zdetronizować gazu, ale stanowcze orzeczenie jest rzeczywiście bardzo trudne. Nie można wyrokować o tém, biorąc dwie równe, ześrodkowane ilości obu świateł, ponieważ dzięki swéj podzielności, gaz daje światło jakie otrzymać chcemy, nic z niego nie marnując, kiedy przeciwnie światło elektryczne nie może być ani zmniejszone ani podzielone na małe płomienie umieszczone w żądanych odległościach. Krótko mówiąc, pewna dana ilość gazu, może być rozdzieloną i paloną w wielkiéj liczbie beków, zaś światło elektryczne, z siłą wyrównywającą stu bekom gazu, nie może być rozdzielone nawet na dwa równe światła, odpowiadające każde 50 bekom gazu. Zdaje się że dotąd tylko wyjątkowo i w wielkich fabrykach, można z oszczędnością posługiwać się światłem elektrycznem.

Tak się rzecz ma z dotychczasowémi doświadczeniami, dokonywanémi według dotychczasowych metod otrzymywania światła elektrycznego, lecz czy Edison, którego słynny profesor Barker, nazywa „herkulesowym geniuszem wynalazczym" który w braku potrzebnych substancyj szuka ich w nieznanych strefach i dotąd zawsze znaleźć umiał, czy nie wynajdzie i teraz odmiennego sposobu otrzymywania i zastosowywania światła elektrycznego — przesądzać nie wolno.

Dawszy poznać Edisona jako najsławniejszego z wynalazców XIX wieku, powiemy o nim jeszcze słówko jako o człowieku. Pod każdym względem charakter jego jest nieposzlakowany i może być wzorem prawości i uczciwości. Jest skromny w życiu, wstrzemięźliwy i pracowity; jako rys charakterystyczny — nie lubi matematyki i matematyków. Obok nadzwyczajnéj bystrości umysłu, odznacza się najściślejszą logicznością, zdolnością szczególniejszego daru ześrodkowania myśli a zarazem przetrawiania w umyśle szybko i jednocześnie kilku pomysłów. Obdarzony silną wolą i niezłomną wytrwałością, pozostawia niezatarte piętno na wszystkiém czego się dotknie. Nie przyjmuje nic na wiarę choćby największéj powagi naukowéj; i tak zaprzecza w części teoryi prawa ciążenia Newton'a, i utrzymuje że ruch jest nieodłączną własnością każdéj materyi, że ta nie jest pociągana, ale posuwa się naprzód w kierunku w jakim najmniejszy napotyka opór. Daléj, utrzymuje jeszcze że wszelkie substancye obdarzone są pojęciem odpowiadającém ich potrzebom. „Jakże wytłomaczyć inaczéj, mówi, dla czego pozioma łodyga kartoflana, przebywa 50 stóp w ciemności piwnicy i przeciw wszelkim prawom ciążenia, podnosi swój wierzchołek szukając promienia światła?"

Edison wyraża się zawsze z największém poszanowaniem o ludziach nauki z którymi miał jakieś stosunki. Powiada że znalazł w nich daleko więcéj prostoty, bezinteresowności i szersze wolniejsze poglądy niż u zwykłych jednostek. Opisując widzenie się swoje z sir Williamem Thompson, kładzie nacisk na stary kapelusz i wytarte suknie sławnego uczonego.

Pod względem literatury, najlepiéj lubi czytać książki których główny interes zasadza się na egzaltowanym romantyzmie lub dowcipnych kombinacyach, w których upatruje niejakie podobieństwo do prac swoich. Ulubionymi jego autorami, są: Wiktor Hugo, Bulver a szczególniéj Verne. Przyjął sobie jeszcze za zasadę: iż lepiéj przeczytać dwanaście razy jedną dobrą książkę, niż dwanaście miernych.

Teraz jeszcze zapyta kto może, jakie są jego upodobania, zabawy i przyjemności? Odkrycia i wynalazki, jaki ma cel w życiu, co zamyśla czynić gdy wielki zbierze majątek? zawsze pracować i coraz nowych dokonywać odkryć i wynalazków. Niezmordowany zapał i wytrwałość, z jakiemi oddawał się pracy będąc jeszcze biednym i nieznanym, spotęgowały się jeszcze teraz gdy może rozporządzać środkami zapewniającémi powodzenie. Edison nie dba o zbytki, nie troszczy się o rozgłos ani poklask tłumów — trawi go i ożywia jedynie zapał do coraz nowych wynalazków. Dwóch synków swoich nazwał jednego Dot (punkt) drugiego Dash (kréska) według symbolicznych znaków alfabetu telegraficznego. Pragnie on wynaleźć corocznie choćby jeden przyrząd równie ważny jak fonograf, a nie zapominajmy że dziś liczy dopiero 31 lat.

Ten krótki życiorys sławnego Amerykanina jest dowodem co może praca i wytrwałość, nawet pozbawione początkowo nauki i środków pomocniczych.



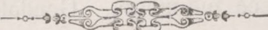
OPERWANA STROFA.

Myśl, to orli lot skrzydeł — wciąż dąży w przestrzenie
Bez wytchnienia, bez miary, a nawet bez końca,
Zatapia się w wszechbycie i leci do słońca
By w blask jasny zamienić mroczne nocy cienie
I skarbem otrzymanym podzielić się z światem,
Tchnąć weń ducha Bożego po dni, wieki, lata,
A kiedy się z nim ludzkość w uczynkach pobrata,
Za innym z tych promiennych gonić poematem.

Jam prostak—z téj wędrówki cóż światu dać mogę?
Jasne niebios widzenie, spokój mego ducha;
Bo przed wiedzy potęgą cześć czuję i trwogę...
A kiedy się me serce w akord ziemski wsłucha,
Niesie tam, w światła krańce, na lazurów drogę,
Modlę za ukochanych.... i płaczem wybucha.

Lutnista.

Warszawa d. 3. Lutego 1879 r.

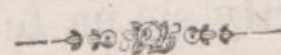


FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.



(Dalszy ciąg).

Od tego dnia, bawiąc się na balkonie hotelu swoją koronkową robótką *frivolité* nazwaną, miała nie mniéj pod dostatkiem materyału do misternych robótek swojéj niespokojnéj wyobraźni. Zagadkowy nieznajomy był zawsze na jéj usługi. Zawsze miał za sobą marmurowe kolumny pałacu a był tak uprzejmy, że rozmawiał z nią czule i miłośnie jak Filon z Dorydą.

Tak grupowała się ta historya z nieznajomym w wyobraźni młodéj, chciwéj większych wzruszeń wdowy, ale w rzeczywistości wyglądało to trochę inaczéj. Zagadkowy nieznajomy ani jednego słowa nie przemówił do Elizy, ale za to co dzień prawie był w pobliżu gondoli, na której płynęła Eliza z rodzicami.

Eliza ze swojéj strony, odgadując sekretne intencye nieznajomego ułatwiła mu te niemą schadzkę. Postanowiła wyjeżdżać na wody zawsze o jednéj i téj saméj godzinie, to jest o pierwszéj z południa, po śniadaniu. Regularność taka ułatwiała każdodzienne prawie zbliżenie dwóch gondoli do siebie. Wprawdzie o tym czasie było wiele innych gondoli na wodach, ale dla niemych kochanków nie było nikogo innego na świecie prócz nich samych!

Do nieustającéj a nigdy nie drukowanéj powieści kobiecéj przybywał codziennie nowy rozdział, przybywały nowe epizody, ale sytuacya była zawsze ta sama. W pobliżu gondoli Elizy płynęła zawsze gondola nieznajomego, nieznajomy patrzał na Elizę, Eliza patrzała na nieznajomego, ale na tem też wszystko się kończyło. Na próżno wychodziła czasem Eliza po za granice dobrze jéj znanéj roli, która właśnie na tem zależy aby po za te granice nigdy się nie wysunąć: napróżno rozmawiając z rodzicami kierowała czasem giest od niechcenia na nieznajomego, nieznajomy jak było widać, konsumował to wszystko co mu dano, z całym spokojem przyzwoitego człowieka, ale do dawczyni tych smacznych rzeczy ani na krok bliżéj nie postąpił.

Sytuacya stała się jednostajną. Elizę zaczęło to nudzić. Żadnym z owych subtelnych sposobów, jakich cały arsenał posiada młoda, piękna kobieta, nie mogła wyrwać nieznajomego z zajętego raz stanowiska. Bohatersko opierał się wszelkim pokusom, trzymając się zawsze w przyzwoitem oddaleniu od gondoli z herbem Jastrzębców.

Eliza straciła cierpliwość. Pewnego dnia po obiedzie zeszła na dół do sali z dziennikami, gdzie również można było pisać listy lub wrażenia swoje przy stolikach w tym celu przygotowanych i jasnem światłem oświetlonych.

Przy jednym z tych stolików zastała starego Anglika znajomego towarzysza obiadowego, który zajęty był pisaniem jakiejś długiéj korespondencyi. Stary Anglik od dziesięciu lat mieszkał w tym hotelu. Przez pięć lat płacił bardzo hojnie właścicielowi hotelu, drugie pięć lat żył na kredyt, obiecując hoteliście że po wygraniu będącego w toku procesu, w którym o miliony chodziło, wszystko co do grosza z procentem zapłaci.

Anglik z wielką pociechą wierzyciela swego zajęty był właśnie urgensem w sprawie owego procesu, gdy Eliza do niego się zbliżyła.

— Pan jesteś zatrudniony, rzekła do niego z uśmiechem żartobliwym.

— W obec tak rzadkich wdzięków kobiecych, odpowiedział z wykwintną galanteryą francuzką ale mniéj wykwintną francuzczyzną stary anglik, ustają wszystkie moje zatrudnienia. W gospodarce życiowéj jest taka zmiana bardzo korzystną.

— Przeciwnie, odpowiedziała z uśmiechem Eliza, to ja chciałabym od pana coś skorzystać!

— Ode mnie?... Szkoda żeś pani przed czterdziestu laty tak ładną i młodą nie była! A miałem rzeczywiście wielkie szczęście do kobiet. Byłem jasny blondyn i nosiłem bakenbardy *à la Wellington*!

— Jeżeli się nie mylę, szanowna znakomitość nie nosiła bakenbardów!

— Nic to nie szkodzi. Ludwik XIV także nie

nosił kołnierzyków krochmalonych, jednak fabrykat takiego nazwiska widziałem za szybą magazynu w Paryżu. Imiona znakomitych ludzi powinny jakimbądź sposobem przyjść do wdzięcznéj potomności.

— Mówiłeś pan, że miałeś szczęście do kobiet!

— Nie powiedziałem kłamstwa!

— I korzystałeś pan zawsze ze swego prawa?

— Nawet wtedy, gdy rozsądek kazał trzymać się zdala!

— Cóż pan na to powiesz, że dzisiaj ludzie są inni!

— Co pani chcesz powiedzieć?

— Oto pewien młody, bardzo przyjemny mężczyzna, od dwóch tygodni ściga gondolę... jednéj mojéj przyjaciółki, a chociaż przyjaciółka wyraźnie mu sprzyja, on jednak ani na krok nie zbliża się do niéj!

— Hm! odparł po krótkim namyśle Anglik, mężczyzna ten musi być Włochem.

— Włochem! zawołała żywo Eliza, zkąd pan wiedziałeś, że on jest Włochem?

— Bo człowiek każdéj innéj narodowości inaczéj by sobie w takim razie postąpił.

Eliza zamyśliła się.

— Jest to czysto narodowy włoski romans, mówił daléj Anglik, tak u nich rozpoczyna się każda miłość!

— Ale na cóż ten wstęp tak długi i..... nudny!

— To nie jest wstęp droga pani, to jest już romans po którym przy pierwszych słowach osobistego poznania następuje formalne, oświadczenie!

Eliza okazała wielkie lecz przyjemne zdziwienie.

— Oświadczenie?... Czy taki jest tutaj zwyczaj?

— Tak jest *milady*, taki jest tutaj zwyczaj. Od lat dziesięciu studyuję tutejsze zwyczaje i obyczaje a nawet już parę tomów notat spisałem, studyuję nietylko w życiu ale nawet z literaturą tutejszą dosyć jestem obeznany. Tu i tam są rzeczy, które zupełnie potwierdzają moje spostrzeżenia!

— Jakież są spostrzeżenia?

— Miłość w Wenecyi rozpoczyna się bardzo poetycznie, tak jak ongi rozpoczynała się ona w naszych starych romansach. On ją gdzieś obaczył i odtąd ciągle za nią chodzi, ale w pewném oddaleniu. Nie zbliża się do niéj, nie przychodzi do domu rodziców. Ona nie wie nawet kto on jest, on jest często w tem samem położeniu. Zna tylko ciemne jéj oczy i usta różowe, zna jéj chód i ubior a w dodatku zna jéj ulubionego pieska i gondolę. To mu wystarcza. Obowiązkiem zaś jego jest być zawsze o pewnéj porze blizko niéj, płynąć za jéj gondolą po wodzie, chodzić za jéj szeleszczącym ogonem po marmurach na placu ś. Marka. Ile razy się zawróci powinna go spotkać, oczy ich powinny się także z sobą spotkać i... nic więcéj. Wystarcza to jéj do cichych marzeń w samotnym pokoiku, on także zadawalnia się podobnym specyałem. I trwa to do pewnego czasu, dopóki te marzenia ciche obopólnie nie staną się nieodzowną potrzebą życia dla jednéj lub dla drugiéj strony, albo wreszcie dla obojga. W takim dopiero razie zaczyna bohater badać społeczne stosunki swojéj kochanki a wynalazłszy jakąś ciotkę lub stryjenkę, zwierza się jéj ze swego efektu i każe w zastępstwie swojem prosić o rękę. Bohaterka zazwyczaj wtedy dopiero dowiaduje się o nazwisku swego kochanka i jeżeli ten nie jest wykonawcą nader niskiego kunsztu, postanawia iść za niego!...

— Dziwny zwyczaj!

— Taki panuje w życiu i taki sam odbija się w całéj belletrystycznéj literaturze włoskiéj. Innego obyczajowego romansu nie znają prawie Włosi!

Eliza zamyśliła się, a stary Anglik wypełniwszy obowiązki galanteryi powrócił do pisania.

VI.

Wyjaśnienie starego Anglika uspokoiło trochę Elizę ale jéj nie zadowoliło. Dziwaczny sposób włoskiego romansu, przy którym wdzięk osobistéj rozmowy zupełnie dla kobiety odpada, wcale się jéj nie podobał. Nie mogła przed swoim bohaterem rozwinąć ani dowcipu, który przy zewnętrznych wdziękach kobiety także coś znaczy, ani nabytéj nauki, która tyle trudu i pieniędzy kosztowała. Bardzo często brzydka nawet kobieta jest w stanie za pomocą tych przymiotów się podobać, a cóż dopiero ładna i młoda! Jeżeli dowcip i w ogóle zręczna rozmowa nieładnéj kobiety może sprawić przyjemne wrażenie, to taka sama rozmowa z ładną i młodą może oczarować!...

Tak sobie rozumowała młoda wdowa złorzecząc zwyczajom i obyczajom włoskim, które na młodą chciwą życia kobietę, wciskają więzy tak wygórowanego platonicznego idealizmu. Nie mogąc jednak tego przełamać mimo wszelkiego swego talentu, postanowiła spokojnie czekać owego przez starego Anglika obiecanego końca. Pocieszała ją tylko ta myśl, że taki koniec nastąpi.

Tak minął znowu cały tydzień. W tygodniu tym, jak i w innych ubiegłych, był nieznajomy nieodłącznym prawie towarzyszem Elizy. Spotykali się na wodzie i na marmurowych chodnikach pod ś. Markiem. Schadzki te odbywały się wprawdzie śród niezliczonego tłumu, ale wprawne oko Elizy wyszukało zawsze w tym tłumie swego bohatera, który zdawał się już dobiegać do owego okresu, gdzie potrzebna jest ciotka lub stryjenka.

Po upływie tygodnia od owéj pamiętnéj z Anglikiem rozmowy, wsiadła Eliza z rodzicami jak zwykle o pierwszéj godzinie do gondoli. Jak zwykle wpłynęła łódź do *canal grande*, a Eliza jak zwykle spojrzała na marmurowe kolumny pałacu, z pod których miała wypłynąć znana jéj dobrze gondola.

— Tym razem jednak nie było ani gondoli ani nieznajomego bohatera. Miejsce przed marmurowemi schodami było próżne, jak biała niezapisana karta powieści kobiecéj. Co na téj białéj karcie napisać? Dla czego brak tu dzisiaj gondoli? Dla czego nie ma go pod tym okazałym portykiem, pod którym tak ładnie wyglądał?...

Temi pytaniami zajęta odwróciła Eliza oczy od pustego pałacu i skierowała je na gondole które obok niéj płynęły. Między temi uderzyła ją jedna, którą często widywała w swoim orszaku, a do któréj nigdy zajrzeć nie mogła. Gondola bowiem zawsze miała czarną budkę oszkloną, a przez szyby nie można było nikogo obaczyć. Gondoliery mieli blado żółtą liberyą i herb na przepasce.

Zaciekawiło to Elizę. Kazała płynąć obok téj gondoli wpatrując się pilnie w okna budki.

Po niejakim czasie przefrunęło kilka gołąbków po nad gondolą z budką. Otworzyły się szyby budki a biała drobna rączka rzuciła na wodę drobno pokrajane kawałki jakiegoś białego pieczywa. Ptaszęta ś. Marka rzuciły się na te pływające okruchy i wyłapywały je z nadzwyczajną zręcznością nie dotykając skrzydłami zwierciadła wody. Przedstawiało to widok bardzo piękny, Eliza patrzała z przyjemnością na wesoło fruwające w powietrzu pupile ś. Ewangielisty, których liczba wzmagała się z każdą chwilą. Zlatywały się z wszystkich kolumn, posągów i dachów jakby na znak umówiony i ciemną chmurą przykrywały dobroczynną gondolę z czarną budką.

Widok był to zbyt ciekawy, aby w zamkniętéj budce dłużéj pozostać. Odchyliły się drzwiczki, a z nich wyszła młoda kobieta, któréj żółto-złote włosy zapaliły się nagle w promieniach słońca ciemną purpurową prawie barwą.

Eliza poznała w niéj ową *Signora di san Marco*, z placu ś. Ewangielisty...

Zdziwienie jéj doszło do najwyższego stopnia, gdy z ust *signory* ozwał się ten sam dźwięk pięknéj i sympatycznéj mowy polskiéj, o którym tak często myślała!...

— Gdyby babunia mogła widzieć te gołąbki! mówiła do budki złoto włosa kobieta, jakie one są łaskawe!

— Prędzéj jest głodne to biedactwo, odpowiedział z budki głos staruszki, szkoda żeś im co więcéj nie przyniosła!

— Nie wiedziałam że przyjdą na wodę!

— Na plac ś. Marka trzeba dla nich wziąść podwójną porcyą kukurydzy!

— Ach! gdybym je mogła do syta nakarmić!

— Tego trudno żądać. Są ich tysiące!

Młoda kobieta o złotych włosach patrzała jeszcze czas niejaki na fruwające nad gondolą gołębie, okazując im swoje próżne ręce. Gołąbki nie wierzyły jéj i obsiadły gęsto czarną budkę, aby się z bliska o tem przekonać. Najłaskawsze czy raczéj najgłodniejsze, zbliżały się nawet do jéj ręki i smutno patrzały na dłonie szczodrobliwe, które na placu św. Marka tak hojnie sypią im pszenicę i kukurydzę, a teraz nic dla nich nie mają!...

I złoto-włoséj kobiecie smutno było że im dzisiaj nic więcéj dać nie może. Z politowaniem patrzała jeszcze chwilę na biedne ptactwo, wreszcie pożegnała je białą rączką swoją i weszła napowrot do czarnéj budki.

Eliza miała sposobność bliżéj jéj się przypatrzyć. Młoda, złotowłosa kobieta nie mogła mieć więcéj jak lat dwadzieścia. Twarz jéj nie była ładna, ale miała jakiś wdzięk niewysłowiony. Cera téj twarzy była prawie przezroczysta i nadzwyczaj biała jak to zwykle bywa przy złotawych włosach. Niezwykłą ozdobą téj twarzy były duże szafirowe oczy. Jakiś sympatyczny wyraz malował się w tych oczach. Nie były one ani smutne ani wesołe, ale odbijały bardzo szybko każde wewnętrzne poruszenie duszy. To stanowiło cały ich urok, a urok ten był szczególny, niepospolity. Do tego dołączał się nader sympatyczny, wyjątkowy organ głosu. W tym głosie było tyle melodyi, tyle wyrazu, że usłyszawszy go raz jeden nie można go było zapomnieć.

Na Elizie sprawiła ta kobieta szczególne wrażenie. Gdy się dowiedziała że to Polka, pokochała ją prawie jak swoją przyjaciółkę. Zwróciła na nią uwagę rodziców i postanowiła zbliżyć się do niéj przy pierwszéj lepszéj sposobności.

Gondola z nieznajomą płynęła powoli naprzód.

Eliza nakazała gondolierom nie spuszczać jéj z oka. W równéj prawie odległości płynęły obie gondole przez czas niejaki.

Wreszcie zbliżono się do mostu kolei żelaznéj. Gondola z złotowłosą kobietą skierowała się do kościoła *degli Scalzi*, to jest bosych karmelitów. Eliza kazała gondolierom także w tym kierunku popłynąć.

Z pierwszéj gondoli wysiadła siwa, zgarbiona staruszka, podtrzymywana z jednéj strony przez młodą towarzyszkę a z drugiéj przez gondoliera, zatrzymała się przed frontem kościoła i zaczęła mu się przypatrywać przez lornetkę.

— Ładny kościół! rzekła do towarzyszki.

Towarzyszka wyjęła z kieszeni małą książeczkę otworzyła ją i rzekła do staruszki:

— Cała fasada tego kościoła jest z kararyjskiego marmuru. Wewnątrz ma być Madonna Balliniego, prawdziwy klejnot sztuki!

— Wejdźmy! odpowiedziała staruszka.

Usłyszawszy to Eliza nakłoniła rodziców, aby także ten kościół zwiedzili.

Tymczasem stojący pod murem żebrak już zadzwonił na kościelnego, który niebawem drzwi do kościoła otworzył.

Obie polskie rodziny weszły do świątyni.

— Tutaj olśnił ich przepych bogactwa. Cały kościół wewnątrz wyłożony najdroższemi wschodniemi marmurami, między niemi obficie można było widzieć drogi *vert antique* i lapis lazuli. Posadzkę stanowiła artystycznie ułożona marmurowa mozajka. Sześć bocznych kaplic, sześć prywatnych grobowców bogatych weneckich rodzin ubiegało się o pierwszeństwo bogactwa sztuki i najdroższych marmurów. Były to istne królewskie mausolea!...

Przepych, sztuka i niewidziane skarby uderzyły na chwilę polskie kobiety, które w ubogim kraju swoim nic podobnego nawet na Wawelu nie widziały! Z tego jednego ze stu kościołów weneckich wcale między niemi nie celującego jeszcze co do bogactwa i sztuki, można już było powziąść wyobrażenie, jakiemi w świetnych swoich czasach bogactwami i artystami rozporządzała Wenecya!...

Pojedyńcze tylko wykrzyki wyrywały się z ust biednych Polek, a gdy pierwsze wrażenia przeminęły, gdy wrodzone uczucie nad podziwem sztuki i bogactwa górę wziąść mogło, nastąpiło między niemi zbliżenie.

Za wielkim ołtarzem, po należytéj admiracyi Madonny Balliniego, ozwała się Eliza do staruszki:

— Ponieważ jeden język nas łączy, nie powinniśmy być dla siebie obcy!

— Jestem Salezy Jastrzębiec z Podola! dodał do słów córki ojciec z pewnem wysileniem, a to moja żona i córka.

— Mieszkam w majątku moim na Polesiu, chociaż sama pochodzę z pod Krakowa, odpowiedziała staruszka.

— A pani jesteś zapewnie wnuczką? ozwała się do złotowłoséj kobiety Eliza.

— Tak, odpowiedziała po małéj pauzie staruszka: to moja krewna... po synie mego stryjecznego brata...

— Ale pani nie jesteś mężatką? pytała daléj Eliza podając sympatycznéj kobiecie rękę z całą szczerością.

— Nie, Minia jest panną! odpowiedziała za nią staruszka.

— I zapewnie nazywasz się pani Marya...

— Nie, odpowiedziała sympatycznym głosem jasno-włosa dziewica, babunia nazywa mnie w sposób zdrobniały a moje imie chrzestne jest, Flaminia!

— Flaminia? powtórzyła pani Apolonia, o takiem imieniu chrzestnem nie słyszałam jeszcze!

— Jest ono w poczecie świętych, tylko u nas mało używane, pospieszył pan Salezy, aby nieświadomość żony swojéj zasłonić.

Podczas tego zastanowienia się nad niezwykłem imieniem swojem, miała jasnowłosa dziewica oczy w ziemię spuszczone a bystro-oka Eliza spostrzegła że w tych oczach zakręciły się dwie łzy, które gwałtem na mozajkową posadzkę upaść chciały. Przemocą tylko powstrzymała je dziewica.

Wzbudziło to tem większą ciekawość Elizy.

— Tak ją ksiądz ochrzcił! zakończyła tę sprawę babunia, jakby nie chciała, aby dłużéj o tém imieniu rozmawiać, za co otrzymała od jasnowłoséj dziewicy dziękczynne spojrzenie.

Po takiem wyjaśnieniu czy raczej gwałtownem zerwaniu sprawy niezwykłego imienia, nastąpiła mała pauza poświęcona z jednéj stronyróżnym ciekawym domysłom i badaniom a z drugiéj widocznemu pofolgowaniu wezbranego uczucia, jakie prawdopodobnie kwestya imienia wywołała.

Po téj małéj pauzie, która nic nie wyjaśniła, przeszła rozmowa do rzeczy zwyczajnych. Pan Salezy dowiedziawszy się o rodzie staruszki, przypomniał sobie, że znał dobrze kogoś z tego rodu, i że nawet bliższe za granicą łączyły go z nim stosunki.

Staruszka bardzo rada temu była, że kogoś takiego spotyka, który ród jéj zna, i aby się panu Salezemu odwzajemnić, szukała gwałtem w pamięci swojéj jakiego Jastrzębca. Jakoż po długich poszukiwaniach znalazła jakiegoś marszałka z Ukrainy, o którym pan Salezy wcale nie wiedział, ale którego się nie wypierał choćby tylko dla tego, że był marszałkiem. Takiego samego zdania była pani Apolonia, a Eliza nawet coś o tym marszałku Ukraińskim wiedziała, jak to można było wnosić z niektórych niejasnych jéj wyrażeń.

Po załatwieniu spraw familijnych przeszli nowi znajomi do spraw dziennych; mówili o Wenecyi, o pięknych widokach i skończyli na niskim kursie austryackich i rossyjskich banknotów. Przy kursie pieniędzy trzeba było coś powiedzieć o mieszkaniu i o hotelach, z czego dowiedziały się obie strony gdzie mieszkają.

Po takich wyjaśnieniach obiecano sobie wzajemnie wizyty i już obie strony gotowały się do wyjścia z kościoła, gdy nagle usłyszała Eliza w głównéj nawie tętniące po marmurze kroki nowego gościa.

Wyjrzała przez boczne drzwi z po za ołtarza i obaczyła, swego tajemniczego nieznajomego.

Tajemniczy nieznajomy przechadzał się powolnym odmierzanym krokiem po mozajce marmurowéj i z niemałem zajęciem przypatrywał się kręconym słupom wielkiego ołtarza z zielonego greckiego marmuru.

Eliza poczuła lekki rumieniec na swojéj twarzy, a gdy po chwili na Flaminię spojrzała, obaczyła na jéj ustach jakiś zagadkowy ironiczny uśmiech, który mógł nawet oznaczać pewne wewnętrzne niezadowolenie.

Nie umiała sobie tego dobrze wytłomaczyć Eliza, a gdy Flaminia pierwsza na kościół wyjść nie chciała, ani ona jakoś nie miała w téj chwili do tego odwagi, przeszedł tymczasem nieznajomy spokojnie przez całą nawę kościoła i za progiem zniknął.

Po wyjściu nieznajomego wyszli wszyscy przed kościół, ale z marmurowych schodów widzieli tylko w dali lotną gondolę, która szybko naprzód płynęła z jednym tylko gondolierem. Nieznajomy prawdopodobnie siedział wewnątrz czarnéj budki.

Kobiety nic o tym wypadku nie mówiły do siebie, tylko rozstały się z przyrzeczeniem, że wkrótce siebie odwiedzą. (*d. c. n.*)

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis)

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Pera.

Wyszedłszy z cmentarza i obszedłszy wieżę Galaty, wchodzi się na wielką ulicę Pera, wznoszącego się o sto metrów nad powierzchnię morza i patrzącego na Złoty-Róg i Bosfor. Pera to West-End kolonii europejskiéj, jasny, wesoły, wykwintny i rozkoszny. Przy pięknéj, wielkiéj ulicy, wznoszą się pałace angielskie i francuzkie, bogate kawiarnie wspaniałe sklepy, teatra, konsulaty, kluby i pałace ambasadorów. Przesuwające się tu tłumy są całkiem inne niż w Galata; nie ma prawie turbanów tylko czarne wysokie kapelusze, nie ma prawie yachmaków tylko maleńkie woalki i kapelusiki z kwiatami i piórami. Pełno tu elegantów różnych narodowości, bogatych przemysłowców, urzędników legacyj, oficerów cudzoziemskiéj marynarki, i powozów panów ambasadorów. Turcy przystają przed sklepami fryzyerów przyglądając się z zadziwieniem woskowym figurom ich wystaw, Turczynki wlepiają oczy w okna magazynów mód. Europejczyk mówi głośno, śmieje się i żartuje w pośród ulicy, muzułmanin czuje że nie jest tu u siebie, i nie tak wysoko podnosi głowę jak w Stambule.

Doszedłszy do końca wielkiéj ulicy Pera, mówi p. de Amicis, usłyszałem głośno wypowiedziane: „Kocham cię, Adelo, kocham nad życie, kocham jak nikt może nie kochał na świecie! Ze zdumieniem spojrzałem na towarzysza mego Yunka. Zkąd nas ten głos dochodzi? zapytałem. Rozejrzawszy się w około, ujrzeliśmy oparkaniony ogród, a przez szpary w parkanie krzesła i scenę na któréj aktorzy odbywali próbę. Nie daleko od nas, stała jakaś dama Turecka, i także patrząc przez szpary śmiała się wesoło. Stary przechodzący Turek, ruszył pogardliwie głową. Wtém nagle Turczynka krzyknęła i zaczęła uciekać; inne kobiety także krzyczały i uciekały. Cóż się to takiego stało? Jakiś może pięćdziesiątletni Turek, znany w całym Konstantynopolu, spacerował sobie po ulicy w stroju w jakim jakiś mnich turecki za czasów Mahometa IV chciał widzieć wszystkich muzułmanów, to jest w stroju Adama. Biedak, skakał, krzyczał, wykrzywiał się, a za nim biegła zgraja uliczników, piekielne wyprawiając harce. „Zapewnie go zaaresztują? rzekłem do odźwiernego teatru. „Gdzież znowu, nikt mu nic nie powie, to obłąkany, który już od kilku miesięcy swobodnie chodzi tak po mieście“ odpowiedział. W tejże chwili mężczyźni zaczęli wychodzić ze sklepów, kobiety uciekać i zasłaniać sobie oczy, inne odsuwały się od okien, zamykano drzwi. I to powtarza się codziennie, i nikt temu nie przeszkadza.“

Do téj ulicy dotyka inny znów cmentarz muzułmański, zacieniony cyprysami i otoczony wysokim murem. Mur ten stanął niedawno, dla uchronienia miejsca wiecznego spoczynku zmarłych od profanacyi, gdyż stało się miejscem schadzek miłosnych żołnierzy z poblizkich koszar. Są to wielkie koszary artyleryi, olbrzymi budynek czworokątny, w stylu maurytańskim tureckiego odrodzenia, z bramą wspartą na kolumnach, po nad którą wznosi się półksiężyc i złota gwiazda Mahmuda; otacza je wystająca galerya z oknami zdobnemi arabeskami i herbami. Za ulicą Dżidessy, leżą liczne przedmieścia.

W dnie robocze panuje tu doskonała cisza, ale za to w niedzielę wieczorem ciągną niezliczone tłumy i szeregi powozów, cała ludność Pera zdąża do ogrodów, piwiarni i kawiarni. Kwiat towarzystwa zbiera się w kawiarni *Belle-vue* z któréj rozległego ogrodu rzeczywiście prześliczny otwiera się widok. Widać wielkie muzułmańskie przedmieście Funduklu, Bosfor z jego niezliczonemi okrętami, Skutari i białe jego meczety, wspaniałą zieloność, niezrównane bogactwo światła i błękitu.

IX.

Święta Zofia.

Meczet Ś. Zofii wznosi się naprzeciw głównego wejścia do Starego Seraju; jednak wszedłszy na plac leżący przed nim, nie meczet ale sławna fontanna sułtana Achmeta III najpierw zwraca uwagę. Jest to jeden z najwspanialszych i najoryginalniejszych pomników sztuki tureckiéj, który możnaby nazwać klejnotem marmurowym, jakim zakochany w swoim Stambule sułtan, uwieńczył jego czoło w chwili miłosnego zachwytu. Z pierwszego wejrzenia fontanna przedstawia się jak mała czworokątna świątynia pokryta chińskim dachem, którego zaokrąglone brzegi wystają po za ściany, nadając jéj pozór pagody. Na czterech rogach są cztery okrągłe wieżyczki a raczéj prześliczne kioski, którym odpowiadają cztery wysmukłe kopuły, otaczające jedną większą wznoszącą się na środku dachu. Cały budynek jest z białego marmuru, ale zaledwie można go dojrzéć pod niezliczonemi ozdobami. Jest to istny cud piękności, bogactwa i niezmordowanéj pracy i cierpliwości, który wartoby postawić pod kloszem. Marmur nieco poczerniał a kolory i złocenia pobladły, ale jakże to cudownym musiał być ten klejnot gdy go odsłonięto pierwszy raz w oczach sułtana, tego Salomona Bosforu, przed laty stu sześćdziesięciu. Do dziś dnia fontanna ta jest jednym z najpierwszych cudów Konstantynopola.

Od fontanny widać meczet Ś. Zofii, zamykający jeden bok placu. Z pierwszego wejrzenia zwracają głównie uwagę cztery wysokie białe minarety, wznoszące się na czterech rogach gmachu na podstawach wielkich jak domy. Sławna kopuła wydaje się małą; zdaje nam się że to chyba nie ta którą widzieliśmy z Pera, z Bosforu i morza Marmora rysująca się w lazurze jak olbrzymia głowa Tytana. U podnóży jéj wznosi się niezliczona liczba małych niepozornych budowli, w których mieszczą się: łaźnie, szkoły, mauzolea, szpitale, kuchnie dla biednych, zakrywające starożytną architekturę bazyliki, z któréj widoczną jest tylko kopuła, pozbawiona jednak owego srebrzystego blasku, który, jak twierdzą Grecy, widoczny był aż ze szczytu Olimpu. Wszystko zresztą jest dziś muzułmańskie.

Jeden minaret wzniósł Mahomet Zdobywca, drugi Selim II, dwa inne Amurat III. Tenże sułtan, zbudował w XVI wieku także i mury poprzeczne (kontr forty) podtrzymujące ściany zachwiane skutkiem trzęsienia ziemi, oraz ogromny bronzowy złocony półksiężyc umieszczony na szczycie kopuły, którego samo pozłocenie kosztowało 50,000 dukatów. Dawną chrzcielnicę zamieniono na mauzoleum Mustafy i Ibraima I; prawie wszystkie budowle przytykające dawniéj do kościoła greckiego zniesiono, zakryto lub zmieniono do niepoznania.

„Ja i przyjaciel mój, mówi pan de Amicis, wybraliśmy na przewodników starego Turka i drogomana Greka, aby ich objaśnienia i legendy uwydatniły nam dwie religie, historyą dwóch ludów, zapatrywanie się Greków i Turków.

„Przez drzwi bronzowe, zwolna obracające się na zawiasach, weszliśmy do przedsionka, długiéj bardzo i bardzo wysokiéj sali o marmurowych ścianach; tu i owdzie znać jeszcze szczątki dawnéj mozajki. Gdyśmy tylko próg przestąpili, zakrystyan w turbanie zażądał okazania firmanu wejścia; ustrojono nas w pantofle i weszliśmy do nawy środkowémi drzwiami, od strony wschodniéj,

Gmach zbudowany jest w kształcie prawie równobocznego ostrokąta, w pośrodku którego wznosi się wielka kopuła, podtrzymywana przez cztery wielkie łuki uformowane przez zaokrąglenie sklepienia, a wznoszące się na czterech bardzo wysokich filarach, stanowiących jakby główny szkielet świątyni. Wielką kopułę otacza siedm pół-kopuł, dwie pod nią. a pięć znowu pod témi dwiema, bez widocznego punktu oparcia, przez co, jak się wyraził pewien poeta grecki „zdają się jakby zawieszone na siedmiu nitkach u sklepienia niebios.“ Kopuły te są oświetlone przez wielkie arkadowe okna. Mirab, (nisza wskazująca kierunek Mekki) wydrążony jest w filarze. Na prawo, w górze, wisi jeden z czterech kobierców na którym Mahomet odprawiał modlitwy. W pobliżu mirabu, pomiędzy dwoma zwycięzkiémi sztandarami Mahometa, wznosi się kazalnica, do któréj prowadzą małe, bardzo pochyłe schodki, otoczone z obu stron prześlicznie rzeźbioną baryerą marmurową; tu staje *Ratib* dla czytania Koranu, z gołym pałaszem w ręku, na znak że Ś. Zofia została zdobytą i zamienioną na meczet. Wprost kazalnicy znajduje się złocona trybuna sułtana. Na prawo i na lewo od wejścia, stoją dwie olbrzymie urny alabastrowe, znalezione wśród ruin Pergamu, które Amurat III sprowadził do Konstantynopola. Bardzo wysoko, u filarów zawieszone są ogromne zielone tarcze na których wypisane są złotémi literami ustępy z Koranu. Poniżéj, przytwierdzone są do ścian wielkie porfirowe tablice, na których wypisane są imiona Allah'a, Mahometa i czterech pierwszych kalifów. Od sklepienia kopuły zwiesza się niezliczona liczba sznurów jedwabnych, mierzących prawie całą wysokość bazyliki, na których pozawieszane są jaja strusie, bronzowe cizelowane lampy i kule kryształowe. Tu i owdzie porozstawiane są pulpity inkrustowane słoniową kością, na których leżą przepisane egzemplarze Koranu.

Najcudowniejszą w całym meczecie jest wielka kopuła; patrząc na nią ze środka nawy, zdaje się że jakaś otchłań zawieszona jest nad naszą głową. Jest nadzwyczajnie wysoka i bezmiernego obwodu, a że głębokość obejmuje tylko jedną szóstą średnicy, więc wydaje się jeszcze większą niż jest. Któż nie wie że ten cud budowy, nie mógłby nigdy być wzniesiony ze zwykłych materyałów budowlanych; sklepienia zbudowane są z pumeksu, i z kamieni budowlanych z wyspy Rodos, ważącémi pięć razy mniéj od zwyczajnych. Na każdym takim kamieniu wyryta była sentencya Dawida, i ilekroć położono dwanaście kamieni podmurowania, zamurowywano w sklepieniu relikwie świętych. Podczas pracy robotników kapłani śpiewali; Justynian w lnianéj tunice przypatrywał się pracującym, a tłum patrzył i uwielbiał. Ta budowa, dziś jeszcze budząca podziw. w VI-ym wieku musiała zdumiewać bezprzykładną śmiałością; lud mniemał że tylko cudem trzyma się stojąca.

Ale nawa i kopuła, to zaledwie cząstka cudów Ś. Zofii. Samym kolumnom z godzinę przyglądać się trzeba. Kolumny z rodzaju zielonego marmuru, podtrzymujące dwie wielkie galerye, zostały ofiarowane Justynianowi przez dostojników Efezu, i pochodzą ze świątyni Dianny, spalonéj przez Herostrata. Ośm kolumn porfyrowych wznoszących się po dwie w rzędzie między filarami, ozdabiały świątynię słońca, wzniesioną w Balbeku przez Aureliana. Inne kolumny pochodzą ze świątyń: Jowisza Cyzyjskiego, Heliosa z Palmiry, z Teb. Aten, Rzymu, Troady, Aleksandryi i przedstawiają nieskończoną rozmaitość barw i wielkości. Kolumny, balustrady, piedestały i szczątki pozostałe po dawném wyłożeniu ścian, wyrabiane były z różnorodnych marmurów pochodzących z kopalni Archipelagu, Azyi Mniejszéj, Afryki i Galii; wszystko to razem tworzy dziwną mieszaninę przeciwną dobremu smakowi, a jednak oczu oderwać nie można.

Stojąc w nawie, nie można wytworzyć sobie dokładnego pojęcia meczetu. Same dwa portyki podtrzymujące boczne galerye są tak wielkie iż możnaby z nich zrobić dwa kościoły. Na galerye wchodzi się po schodach tak mało pochylonych że nie znać prawie stopni; galerye te, stanowiły „gyneceum“ czyli część kościoła przeznaczoną dla kobiet; penitenci zostawali w przedsionku, zwyczajni wierni w nawie. Każda z galeryi jest tak wielką iż mogłaby pomieścić ludność jednego z przedmieść Konstantynopola. Wychyliwszy się po za bąlustradę, można dopiero objąć spojrzeniem całą wielkość i wspaniałość meczetu; arkady, sklepienia, filary, wszystko olbrzymieje, owe zielone tarcze, które z dołu zdawały tak nie wielkie iżby je rękami objąć można, tu pokazują się tak kolosalne iżby cały dom pokryły. Okna są tak ogromne jak fasady pałacu; trybuny jak place; kopuła ogromem swoim sprawia zawrót głowy. Spojrzawszy na dół nowe zdumienie, aniśmy przypuszczali że znajdujemy się na takiéj wysokości.

Z tych wyżyn można objąć wejrzeniem i myślą całe życie meczetu. Widać ztąd Turków klęczących na matach, z czołem pochyloném ku ziemi; inni stoją wyprostowani jak posągi, z rękami rozłożonémi przed twarzą, jakby badając rysujące się na nich linie; tam znowu siedzą pod filarami z założonémi na krzyż nogami, jak gdyby spoczywali pod cieniem drzewa; tu i owdzie klęczą w samotnych kątach zasłonięte kobiety; przed czytającym koran, pozasiadali starcy; tam iman uczy dzieci ustępów z Koranu.

„W ogóle jednak widok tego meczetu smutne sprawia wrażenie, i powtórzymy z wielkim poetą „że święta Zofia, to jakby kolosalny grobowiec,“ bo wszędzie widoczne ślady strasznego zniszczenia, a myśląc z żalem o tém co było, z mniejszą przyjemnością patrzymy w to co jest. Gdybyż to można wyrzucić muzułmańskie pulpity, urny, tarcze i porfirowe tablice, powybijać zamurowane drzwi i okna, oskrobać pobielenie pokrywające sklepienie i ściany i ujrzéć bazylikę w takim stanie jak była gdy Justynian zawołał: „Chwała Panu który uznał mnie godnym spełnienia tak wielkiego dzieła! Przewyższyłem cię, Salomonie!“

Obejrzawszy w milczeniu meczet, uwolniliśmy przewodników, którzy pokazywali nam odarte z wszelkich ozdób jak zresztą cała bazylika, kaplice mieszczące się pod galeryami. Niektóre obrócono na skarbce, w których Turcy wybierający się w daleką podróż, składają swe kosztowności i pieniądze pod Bożą opiekę, gdzie nieraz całe lata pozostają. Inne, zastawione murem, zamieniono w infirmerye, gdzie, oczekując śmierci lub wyzdrowienia, leżą chorzy i idyoci, których żałośne krzyki lub dziecinne śmiechy od czasu do czasu rozlegają się w meczecie.

„Drogman Grek opowiadał nam, że przez siedm lat zgromadzano materyały do budowy; stu podmajstrzych doglądało robót dziesięciu tysięcy robotników pracujących jednocześnie. Mury wzniosły się zaledwie na wysokość kilku palm, a już wypotrzebowano 450 centnarów złota. Kościół został poświęcony przez Patryarchę, w lat pięć, miesięcy jedenaście i dni dziesięć od daty rozpoczęcia fundamentów, a Justynian nakazał z powodu téj uroczystości, wielkie nabożeństwa, zabawy, oraz rozdawanie pieniędzy i żywności, przez całe dwa tygodnie.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA.

Lwów w lutym 1879.

Pisząc w saméj pełni karnawałowéj pory, niepodobna zupełnie pominąć ciekawéj zresztą zawsze dla Czytelniczek wiadomości, jak się ludzie bawią w innych stronach, choćby o kilkadziesiąt mil odległych. Otóż sądząc tylko z tego, cośmy dotąd przebyli i nie licząc się nawet wcale z tém, co z programu jeszcze nastąpi przed fatalnym popielcem, Lwów zachowa rok bieżący co do karnawałowych uciech, na bardzo długi czas we wdzięcznéj pamięci. Bawią się i tańczą u nas wszyscy, jak kto chce: na wieczorkach, które stale urządzane bywają przez różne towarzystwa i kółka a szczególnie przez młodzież akademicką: na balach publicznych których w tym roku więcéj było i będzie niż dawniéj: w teatrze, gdzie maskarady zdają się napowrót odzyskiwać dawno utraconą popularność, wreszcie na zabawach prywatnych a nawet na lodzie! Wieczorki Kasynowe i akademickie, nie stawiające zbyt wielkich wymagań toaletowych a tem samém przystępniejsze od balów publicznych, mają stałe i tak liczne koło uczestników, że największa ilość balów publicznych nie zrobi im groźnéj konkurencyi. Bale zaś w inny sposób zapewniają sobie powodzenie, bo każdy z nich ma cel dobroczynny, każdy urządzony bywa przez komitet złożony z ludzi ruchliwych, znających się wybornie na sztuce robienia reklamy, a jeżeli cel dobroczynny i reklama zręczna połączą się z sobą, to nawet najoszczędniejsze piękności rozgrzeszą się i zrobią wyłom w budżecie, toaletą balową. Świetnym szczególnie był bal lekarski, z którego czysty dochód około 3500 złr. wynoszący, przeznaczony został na fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po lekarzach. Fundusz ten otrzyma nazwę dr. Biesiadeckiego, który wysłany został przez rząd do Astrachania celem zbadania dżumy. Ta okoliczność stanowiła wielką reklamę dla balu, uważano udział w nim za hołd oddany znakomitemu medykowi, który życie swoje naraża bezinteresownie dla dobra kraju i ludzkości.

Dyrekcya teatru ma trudną walkę z tegorocznym karnawałem, ale podjęła je odważnie urządzając, na wzór Warszawy, teatr Rozmaitości w sali redutowéj po cenach zniżonych i przedstawia na scenie głównéj najefektowniejsze nowości sceniczno zagraniczne np. Głośna sprawa. Mimo to wszystko teatr jest najczęściéj pusty i rzadko zdarza się, żeby loże były do połowy przynajmniéj zajęte. Na popołudniowych przedstawieniach nieźle jeszcze wychodzi dyrekcya, bo zniża ceny znacznie i odstępuje od dawnéj maksymy że po południu grane być mają tylko drobne utwory przez drugorzędne siły artystyczne. I pora popołudniowa i cena zniżona zjednała tym przedstawieniom stałą popularność.

Niepodobna tym razem pominąć zupełnie jednéj sprawy publicznéj, o któréj od trzech miesięcy, nie sam Lwów lecz kraj cały myśli i mówi, która o znaczny procent spotęgowała i tak już drażliwą rozterkę domową w naszém społeczeństwie, która nietylko prasę nieustannie zaprząta lecz nawet wywołała osobną bardzo bogatą literaturę broszurową, która wreszcie doprowadziła do burd ulicznych w listopadzie z. r.

Otóż sprawa ta zwana u nas Hausnerowską, spotęgowała do najwyższego stopnia rozterkę między dwoma głównémi stronnictwami kraju ś. p. krakowskiémi czyli tak zwanymi Stańczykami i wschodnio-galicyjskiémi. Aby złagodzić tę różnicę i wpłynąć w uśmierzający sposób na wzburzone namiętności, grono obywateli poważnych wznowiło sprawę założenia nowego, umiarkowanego dziennika we Lwowie, któregoby zadaniem było tworzyć pomost między skrajnémi partyami. Już w jesieni ubiegłego roku mówiono wiele o nowym dzienniku, wymieniano osoby powołane na współpracowników i do kierownictwa, wyliczano nawet fundusze któremi nowe wydawnictwo rozporządza, ale skończyło się wszystko na pogłoskach. Teraz znowu wypływa projekt nowego dziennika z tym dodatkiem, że będzie on tak szczodrze uposażony, aby nie oglądając się na cyfrę prenumeratorów miał wszelkie warunki egzystencyi na długi czas. Jak w jesieni tak i teraz główne trudności stanowi wyszukanie dobrego kandydata na posadę redaktora. Kandydatów nie braknie u nas i na redagowanie całego tuzina dzienników, ale dobrego redaktora, pojmującego sumiennie swoje zadanie i posiadającego zdolności potrzebne do spełnienia tego zadania, trudno nawet bardzo trudno wyszukać we Lwowie i po za Lwowem. O ile nam wiadomo ci, którym założyciele chcieliby powierzyć redakcyą, nie podjęli się téj misyi a ci którzy gotowi są do niéj, nie posiadają zaufania założycieli. Największa trudność w wyszukaniu redaktora stanowi ta okoliczność, że nie powinien on być zbyt zaangażowanym w obecnéj walce stronnictw. Jestto warunek słuszny, bo jeżeli nowy dziennik ma spełnić zbawienne zadanie swoje, jeżeli ma uśmierzyć a z czasem i usunąć antagonizm w naszém społeczeństwie wywołany, to firma jego nie powinna ani obudzać żadnych uprzedzań ani ściągać podejrzenia o stronniczość. Jak założycielom dziennika nowego wielką trudność sprawia wybór redaktora, tak znowu redaktor przyszły trudne będzie miał zadanie z wyborem współpracowników. Lwów bowiem jest bardzo ubogi w siły dziennikarskie, prawie nie posiada dziennikarzy oddanych zupełnie temu zawodowi i należycie doń przygotowanych. Przykry, niewdzięczny, absorbujący a przytém zupełnie niepopłacający u nas zawód dziennikarski nie nęci tak jak zagranicą, a kto mu się pierwotnie oddał całkowicie, stara się jak najprędzéj wydobyć się z niego. W skutek tego prasa lwowska tak niekorzystnie odbija od reszty prasy polskiéj, chociaż posiada wszelkie warunki aby mogła jeżeli już nie prześcignąć inne dzienniki to przynajmniéj stanąć z niémi na równi. Jeżeli co do wywalczenia wpływu publicznego nowy dziennik będzie miał arcy trudne zadanie, to za to konkurencya literacka z resztą prasy nie wielkich wymagać będzie wysileń.

Lwów odgrzebał bardzo ciekawą nowość literacką, nieznany dotąd utwór ś. p. Józefa Korzeniowskiego p. t. Dziennik Wizytatora, który drukowała Gazeta Lwowska w fejletonie. Nie jestto powieść lecz mały pamiętniczek autora, przeznaczony nie dla publiczności lecz raczéj dla rodziny. To téż manuskrypt spoczywał dotąd w archiwum rodzinném. Odszukał go p. Klemens Kantecki, który zamierzając napisać monografią literacką o Józefie Korzeniowskim, udał się do rodziny jego po materyały i między innémi otrzymał także Dziennik Wizytatora. Panu Kanteckiemu należy się wdzięczność za to, że podał publiczności nieznany dotąd utwór znakomitego pisarza, utwór, który mimo skróconego rozmiaru i założenia przypomnieć musiał każdemu niezrównany wdzięk pism ś. p. Józefa Korzeniowskiego. Nie pierwsza to monografia literacka p. Kanteckiego. Przed rokiem napisał monografią o ś. p. Karolu Szajnosze, która stanowi dopełnienie zbiorowego wydania dzieł tego historyka, a przy końcu ubiegłego roku pojawiła się w handlu księgarskim monografia o Arturze Grotgerze. Wszystkie te prace mają wyższą wartość literacką, nietylko z powodu znakomitego opracowania znanych już dotąd, ale rozrzuconych materyałów, lecz także z powodu odszukania nowych, w czém także szczęście sprzyja bardzo autorowi.

Nakładem księgarni Gubrynowicza wychodzi zeszytami nowe illustrowane wydanie znanéj powieści p. Alberta Wilczyńskiego „Kłopoty starego komendanta.“ Powieść ta jest jednym z tych rzadkich utworów, które od razu jednają sławę i wzięcie autorowi. „Kłopoty starego komendanta“ mimo całéj powodzi powieści, które się po ich wydaniu pojawiły, były zawsze chętnie czytane a nawet poszukiwane, bo pierwszy nakład został zupełnie wyczerpany. Autor, p. Albert Wilczyński, długo potém nic nie pisał a mimo to, gdy po kilkunastu latach ogłosił w fejletonie jednego z dzienników lwowskich nową humoreskę, stał się odrazu jednym z najpopularniejszych powieściopisarzy. Od tego czasu p. Wilczyński napisał już wiele powiastek humorystycznych, z których chociaż żadna nie prześcignęła Kłopotów komendanta, ale to pewna, że każda była bardzo wdzięcznie przyjęta i chętnie czytana, bo każda posiada bogaty zapas naturalnego humoru i celuje świetną charakterystyką typów i stosunków społecznych. P. Wilczyński obierał sobie dotąd za tło swoich powieści głównie stosunki i strony w których przebywał przed osiedleniem się w Galicyi. Życzyć należy publiczności naszéj, aby autor jak najprędzéj oswoił się ze stosunkami specyalnie galicyjskiémi, w których humor i talent jego znajdzie niezawodnie bogaty materyał do nowéj seryi wybornych szkiców.

B. Ł.

Literatura Zagraniczna.

Nowy rok sprowadził tu jak zwykle mnóstwo ozdobnych publikacyi, przeznaczonych na upominki kalendarzowe. Niektóre z tych ksiąg ilustrowanych, odznaczają się wykonaniem prawdziwie artystycznem, a co ważniejsza, że sama ozdoba zewnętrzna, nie stanowi wyłącznie ich wartości. Tekst sumiennie opracowany, harmonijnie odpowiada pięknym rysunkom mistrzów. Wprawdzie nie o wszystkich ozdobnych publikacyach powiedziećby to można, my jednak zatrzymamy się tylko nad temi, które kształcą smak estetyczny, a zarazem karmią spragniony wiedzy umysł.

Na czele tych dzieł postawimy Historyą Rzymu przez Wiktora Duruy, dawnego ministra oświecenia. Wielki tom złożony z 800 stronnic, ozdobiony rycinami i chromolitografiami, w liczbie pięciuset kilkudziesięciu, stanowi początek obszernego dzieła które ogarnie całe dzieje państwa rzymskiego, aż do najazdu barbarzyńców. Tom wydany kończy się na wojnach punickich.

Autor w szczegółowym bardzo wstępie, daje naprzód obraz ziemi, oblanéj z trzech stron morzem, opasanéj z północy szańcem Alp, przeciętéj wzdłuż łańcuchem Apeninów. Kreśli następnie etnografią ludów, jakie napływały ze świata na rozkoszny półwysep, spychając się nawzajem. Widzimy tu starożytnych Pelazgów, przygnieciony przez galskie, etruskie i greckie plemiona; liczne rysunki pokazują nam ślady ich odwiecznéj cywilizacyi: ich mury i grobowce, ich oręże i pyszną ceramikę.

Gdy te ludy szamocą się w bezustannych zapasach tymczasem po nad Tybrem, na górze Palatynatu powstaje gród ubogi, złożony zaledwie z kilku chat, słomianą pokrytych strzechą. Ale w grodzie tym znalazła ostoję garstka szermierzy, niezmordowana w trudach. Garstka, ta, przez lat sto pięćdziesiąt

nie myśli o podbojach, nie walczy dla chwały, z całem tylko wysileniem, broni ognisko swoje od napaści sąsiednich Gallów i Sabinów. W walkach odpornych zdobywa niezłomny hart, wzrasta w siłę, aż nakoniec pewna tryumfu, występuje zaczepnie przeciw ościennym ludom, zdobywa Lacyum i Etruryą, i podbija wreszcie cały półwysep pod swe rządy.

Z równą energią Rzym urządza się wewnątrz. Dwa szarpiące się stronnictwa, patrycyat i plebs, ożywione pragnieniem dobra powszechnego, zaprzestają wiekowych sporów. Wszystkim obywatelom jednakie służy prawo. Wówczas to następuje równowaga: senat z jednéj strony kontroluje konsulów, z drugiéj zatrzymuje lud w zbytecznych porywach. Trzy wieki starczyło na zupełne uorganizowanie państwa. Uderzyła godzina: Legiony miały zacząć krwawą na zewnątrz pracę!

W tymże czasie, po drugim brzegu morza Śródziemnego, powstała inna, równie wielka potęga. Była nią Kartagina. Opanowawszy wybrzeża afrykańskie poczyna wdzierać się w głąb Europy, zajmuje Sardynią i Korsykę, chciwe oko wlepia w Sycylią. Tu następuje gwałtowne starcie z Rzymem. Chwila to stanowcza w dziejach: Duruy kreśli wspaniały obraz walki, pokazuje wielką energią Kartagińczyków i niezrównany geniusz Anibala, a przecież jasno tłomaczy konieczny tryumf Rzymu. Kartagina upadła skutkiem wadliwych instytucyi: podczas gdy Rzym dawał przykład wzniosłych cnót obywatelskich, w Kartaginie rządził wszechwładnie pieniądz. Wojna była tam przedsiębiorstwem handlowem; prowadzili ją płatni najemnicy. Rzym wyższą prowadzony ideą musiał w końcu zwyciężyć. Rozzuchwalony tryumfem, zamarzył wreszcie o ujarzmieniu świata!.

Wojny Punickie zamykają tom pierwszy, drugi wyjdzie dopiero z końcem roku. Autor od lat trzydziestu, bada ten wielki przedmiot. Istnieje już Historya Rzymu tegoż pióra, napisana dla użytku szkół: nowa publikacya rozszerzona znacznie, ozdobiona drzeworytami, ma charakter prawdziwie pomnikowy.

Drugie dzieło ilustrowane, mimo ściśle archeologicznego piękna, przedstawia się z ciekawéj strony, nie samym tylko specyalistom. Mówimy tu o opisie wykopalisk słynnego archeologa Schliemana, dokonanych w roku zeszłym na gruzach starożytnych Mycen. Dzieło to w wielkim formacie, obejmuje 700 rysunków, pokazujących odkryty skarbiec z czasu wojny trojańskiéj.

Nim rzucimy okiem na tę publikacyą powiedzmy słówko o znakomitym starożytniku, którego życie jest samo przez się ciekawym poematem, niemniéj na pozór bajecznym, jak przygody homerowskich Ajaksów i Ulissów.

W r. 1836, w meklemburgskiem mieście Fürtenbergu, posługiwał w sklepie korzennego kupca, czternastoletni chłopiec; od piątéj z rana, do jedenastéj wieczorem, sprzedawał śledzie, ważył cukier i masło. Chłopiec ten Henryk Schlieman, nie umiał wcale pisać, czytał tylko i to z trudnością.

Sklep był zarazem szynkiem. Jednego wieczoru, pijany student siedząc nad butelką, wydeklamował z pamięci po grecku z jakie sto wierszy Illyady: cudny rytm tych wierszy, oczarował małego Schliemana. Uderzony harmonijnym ich dźwiękiem rozmyślał nad niemi dniem i nocą, prosił gorąco Boga, aby mu pozwolił kiedyś wyuczyć się po grecku i czytać Homera w oryginale. W krótce potem Schlieman porzucił sklepik, przyjął służbę chłopca okrętowego: statek na którym odbył pierwszą wyprawę, rozbił się u brzegów holenderskich. Ocalony szczęśliwie młodzian ruszył do Amsterdamu, piechotą o żebranym chlebie. Za przybyciem chory ciężko dostał się do szpitala.

Ledwie że uleczony, wchodzi do domu handlowego: całym jego obowiązkiem, przylepiać pieczątki do listów i nosić je na pocztę. Pobiera za to rocznie 800 franków. Połowa wystarcza mu na życie. Najmuje ciasną izdebkę na poddaszu, tu smaży się latem, dzwoni zębami zimą, pokarmem jego papka z gryczanéj mąki. Za drugą połowę dochodu, kupuje książki, opłaca nauczycieli. Umie on spożytkować każdą minutę czasu: uczy się czekając na poczcie; idąc z powrotem, powtarza z pamięci co przeczytał. Sypia zaledwie parę godzin. Wytrwała praca rychło wydała owoc. W pół roku Schlieman władał angielską mową, w rok umiał po francuzku. Przełamawszy pierwsze trudności, wkrótce wyuczył się kilku nowych języków, hiszpańskiego, włoskiego, rossyjskiego.

Ostatni ten język szczególniéj mu posłużył. Dom handlowy wysyła go do Petersburga jako ajenta swego. Tu Schlieman przebywa lat kilka: żeni się z bogatą dziedziczką, zakłada dom handlowy na własną rękę.

Pieniądz mnoży się w ręku śmiałego przedsiębiercy, majątek urasta z dniem każdym, ale Schlieman nie umie jeszcze po starogrecku! postanawia czekać cierpliwie, dopóki nie stanie silnie na nogach Widząc się wreszcie panem milionów, likwiduje dom handlowy, i rzuca się do nauki z niezrównanym zapałem. Wkrótce odczytał Homera w oryginale!

Rozpoczyna wtedy szereg pielgrzymek, w różne strony Grecyi, przeplata je podróżami do Japonii, Indyi Wsahodnich, Jerozolimy i Nowego Jorku, przed dziesięciu laty przebiegając z Homerem w ręku azyatyckie wybrzeża, oznacza miejsce starożytnéj Troi, nie tam gdzie je powszechnie wskazywano. Wykopane przedmioty potwierdziły domysł, bardziéj jeszcze udowodnił go odkopany w roku 1873 zbiór archeologicznych osobliwości, zwany *Skarbcem króla Pryama*, podczas gdy uczeni, podnosząc ważność wydobytych z ziemi zabytków, szydzili jednak z przypuszczenia, jakoby te odnosić się miały do wojny trojańskiéj, stworzonéj według nich fantazyą poetów. Schlieman tymczasem prowadził z wiarą prace swoje po rozmaitych stronach Hellady.

W roku 1876, wyprawił z Mycen telegram do króla Greckiego, oznajmiający jako odkrył grób Agamemnona, i ukryte w nim skarby, które składa w upominku Grecyi!

Owe to skarby znajdujemy oddane wiernie w siedmiuset drzeworytach, zdobiących album Schliemana. Dzieło to wyszło przed rokiem w niemieckim języku. Gladstone przetłumaczył je na język angielski, i wydał z obszerną rozprawą; dowodzi w niéj z całem przekonaniem, że odkryte grobowce i skarby, odnoszą się do bohaterskich wojen, które septyczna szkoła Momsena i innych niemieckich historyków, uważa za poetyczny wymysł. Przekład francuzki dokonany z angielskiego.

Szczupłość ram przymusza nas do opuszczenia mnóstwa przedmiotów, których rysunki mamy przed oczyma.

Zobaczmy tylko grobowce argolidów. Schlieman odkopał ich pięć wykopalisk w skale; w każdym mieściło się trzy ciała na pół przepalone, zasypane popiołem. Jeden szkielet odznaczał się od innych, wysoką i krzepką postawą. W szczękach bieliły się wszystkie zęby; powołani lekarze wnosząc z nich o wieku pogrzebanego, naznaczają mu lat około trzydzieści pięć; ten był według tradycyi wiek Agamemnona. Szeroką pierś pokrywał złoty kirys; nakreślony w kręte linie. Złoty pas otaczał biodra, od niego spadał miecz obosieczny, wykuty z brązu u głowni ozdobiony złotą blachą. U stóp złożono jedenaście spiżowych szablic. Trupią głowę pokrywała z przodu złota maska, na któréj skreślony był wizerunek dorodnego męża, z bujną brodą. Sześć innych szkieletów, miało zarówno złote maski. W grobie jednym znaleziono trzy szkielety niewieście: Schlieman widzi w nich szczątki wiernéj Kassandry. córy Pryama i dwóch branek trojańskich.

Wszystkie groby zasypane były złotemi przedmiotami. Widzimy na tablicach wielką liczbę koron i dyademów, wazonów, czasz, pierścieni i tysiące złotych tabliczek, nakreślonych w rozmaite godła. Jedna zwłaszcza korona, jest arcydziełem sztuki złotniczéj. Wazony odznaczają się pięknym kształtem: jeden z nich szczerozłoty, ma po bokach dwie głowy psie, wytwornie wyrzeźbione: inny wykuty ze srebra, przedstawia łeb wołu ze złotemi rogami. Trzeci najciekawszy ze wszystkich, przypomina bowiem kształtem i ozdobami ową czaszę którą Homer ukazuje przy uczcie pod namiotem Nestora.

Z domu wzięta, na stole świeci złota czasza,
Blask rzęsisty od gwoździ jasność gwiazd przygasza,
Na uchach zaś, a cztery były ucha zgięte,
Pasą się dwa gołębie ze złota wyrżnięte,
Innyby starzec pełnéj nie udźwignął czary,
Nestor łatwo ją podniósł, choć tak bardzo stary. *)

Archeologowie francuzcy, angielscy i niemieccy, głęboko poruszeni tak nadzwyczajném odkryciem: wahają się z wyrzeczeniem ostatniego słowa. Zdania ich dotąd podzielone. Wszyscy w ogólności, przyznają wielką doniosłość wykopaliskom Schliemana, wielu jednak nie śmie odnieść ich do czasu wojny trojańskiéj wojny. Niemcy szczególnéj silny stawiają opór. Schlieman nie zważa na te spory, ale z godną podziwienia wytrwałością, prowadzi dalsze prace. Obecnie pod gruzami Troi, opiewanéj przez Homera, dokopuje się innych zwalisk, sięgających głębiej jeszcze w łono wpadłych wieków. (*d. c. n.*)

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.



*) Iliada, przekład Franciszka Dmuchowskiego.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 6 Февраля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 8, r. 1879.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Czy nie mógłbym wiedzieć kto jest właścicielem téj szkatułki?

— Dowie się pan o tém skoro ją znajdziemy, odpowiedział pan Lydney inspektorowi, któremu ostrożność jego wydawała się coraz dziwniejszą. Mogę więc liczyć na to że mi pan dopomoże w poszukiwaniach?

— Bez wątpienia... użyjemy wszelkich sposobów *możliwych* aby poszukiwania te zostały uwieńczone pożądanym skutkiem.

Pan Lydney wyszedł. Inspektor przysunął się do okna i ścigał go wzrokiem dopóki nie zniknął mu z oczu.

Pan Bent utrzymując że sprawa jest nader zawikłaną, wyraził tylko wiernie swoje o niéj zdanie. Teraz, kiedy poznał pana Lydney, nie podzielał już bynajmniéj, o nim przekonania lorda Dane, tak postawa jak sposób wyrażania się nieznajomego nakazywały domyślać się w nim człowieka uczciwego i gentlemana, dla tego też pan Bent stał się w końcu uprzejmiejszym i rozmowniejszym jak być zamierzał.

„Niech mnie powieszą, zawołał nakoniec otrząsając się z zamyślenia, jeżeli ten młody cudzoziemiec nie ma w sobie czegoś takiego czém mi przypomina starego lorda Dane. Zupełnie takie same ruchy, taka sama szlachetna i dumna postawa. Co do szkatułki... Cóż to! pan znów powrócił?

Przyszło mi na myśl że może byłoby dobrze przyrzec jakąś nagrodę temu kto mi dopomoże do odzyskania mojéj szkatułki, rzekł pan Lydney. Jak pan sądzi?

— Tak... tak, zapewne, mógłby to być środek skuteczny.... Zastanowiłem się właśnie nad tą kradzieżą i zdaje mi się że musiała być popełniona w drodze z wybrzeża do zamku, przynajmniéj jest to jedyne prawdopodobne przypuszczenie. Mamy tu paru łotrów w Danesheldzie, starszych i silniejszych od Shada, i jeżeli który z nich znajdował się wtenczas na drodze mógł porwać łatwo szkatułkę pana. W takim razie ofiarowanie nagrody, może dopomódz do jéj odzyskania.

— Zechciéj więc pan zająć się zaraz tém ogłoszeniem. Nie oszczędzaj pan czasu, trudów i pieniędzy. Wszelkie koszta będą panu zwrócone.

— Najchętniéj. Jaką przyrzeczemy sumę?... pięć, dziesięć funtów?

— Ofiaruj pan pięćset funtów.

— Panie! zawołał zdumiony inspektor.

— Pięćset funtów które zostaną wypłacone temu kto odniesie szkatułkę nienaruszoną, powtórzył pan Lydney, tak spokojnie jak gdyby obiecywał dwa funty.

— Pięćset funtów! zawołał inspektor odurzony wysokością nagrody. Szkatułka musi posiadać ogromną wartość... Więc pan jesteś tak bogatym?

— Szkatułka posiada rzeczywiście nieocenioną wartość dla swego właściciela, co zaś do pieniędzy, te wyjdą nie z mojéj kieszeni.

— Ludzie o których panu wspominałem, stanowiący plagę téj okolicy, a zajmujący się głównie przemytnictwem i kradzieżą zwierzyny, gotowiby za dziesiątą część téj sumy przynieść tu wszystkie szkatułki jakieby im się spotkać zdarzyło.

— Ponieważ zaś, mówił daléj Lydney, zwróciłeś pan na to moją uwagę że jestem tu całkiem nieznany, uprzedzam, że wszelkie gwarancye co do téj sumy będą złożone w pana ręce, aby nie było żadnéj wątpliwości co do spełnienia mojéj obietnicy.

William Lydney oddalił się po tych słowach, a inspektor Bent znów ścigał go wzrokiem i długo nie mógł ochłonąć ze zdziwienia.

„Miałem słuszność, pomyślał, że wszystko to jest dziwne i niezrozumiałe. Pięćset funtów! co tam u licha może być w téj szkatułce?

Rozdział VI.

Shad i Goody Bean.

Pan Lydney oddalił się wolnym krokiem pogrążony w głębokiém zamyśleniu. Zapewnienie pana Bent wyrażone z tak głębokiém przekonaniem, że szkatułki nie ma w pałacu, zbiło go całkiem z tropu. Zaczęło mu przychodzić na myśl że może nie słusznie posądził lorda Dane, że przypuszczenie inspektora co do skradzenia szkatułki w drodze było daleko prawdopodobniejszém.

Jeżeli tak było w istocie to ktoś musiał być świadkiem téj kradzieży, a tym kimś był Shad Been; trzeba więc nie tracąc ani chwili czasu poszukać go i wybadać. Ma się rozumiéć że Shad zaprze się wszystkiego, ale może zdradzić go jakieś zbyt przebiegłe spojrzenie, jakieś nierozważne słowo. W każdym razie warto było sprobować.

William nie znał dobrze drogi do chaty starej Goody Bean, wiedział tylko że znajduje się przy brzegu lasu, niedaleko kotażu Wilfrida Lester, udał się więc śpiesznie w tę stronę korzystając ze światła księżyca. Przechodząc koło kotażu zatrzymał się jakby uderzony nagłą jakąś myślą.

„Zdaje mi się że trzeba było iść prosto drogą aż do domku miss Bordillion, a następnie skręcić na lewo. Muszę zapytać się Wilfrida.

Otworzył furtkę i wszedł na schodki; miał już uchwycić za klamkę, kiedy z głębokiém jego zadziwieniem, drzwi otworzyły się prędko i cicho, i jakaś wysoka kobieta uchwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą do ciemnego korytarza. Tą kobietą była Sally.

„Dzięki Bogu! rzekła cicho, trzymając go ciągle, że pan nie wyszedł jeszcze! O! napróżno pan chce mi się wyrwać!—Piastowałam pana na moich kolanach kiedy byłeś jeszcze dzieckiem, i za nic w świecie nie pozwolę panu wyjść dziś z domu. Wiem że strażnicy leśni mogą czatować téj nocy, i jestem tak pewna jak tego że jeszcze żyję, że się krew poleje, jeżeli dziś kto zechce ukradkiem wybrać się na polowanie. Powiadam panu że nie puszczę!... Czy pan chce zabić żonę! Już zaczyna się czegoś domyślać, chociaż upewniłam ją że pan pali fajkę w kuchni. Niechże pan już wejdzie do pokoju i pozwoli mi zamknąć drzwi na klucz.

— Moja dobra kobieto, zawołał Lydney ochłonąwszy z zadziwienia, za kogóż mnie bierzesz u licha? Jestem Lydney. Czy zastałem pana?

Sally wsparła się o ścianę tak zmieszana że nie mogła przemówić. William powtórzył pytanie.

— Doprawdy, szalona jestem, rzekła udając że się śmieje, spodziewałam się dziś mego znajomego i sądziłam że to on przyszedł... Pan się pyta o pana Lester? Nie ma go w domu.... tak mi się przynajmniéj zdaje.... Tylko co wróciłam z pokoju pani.

— O! nie ma nic pilnego. Wstąpiłem tu tylko aby się zapytać o drogę do chaty Goody Bean.

— Niech pan idzie ciągle prosto, a po tém skręci w pierwszą dróżkę na lewo. Zobaczy pan wkrótce małą, nizką chałupkę wśród drzew, tam właśnie mieszka Goody Bean. Przepraszam pana bardzo za moją pomyłkę: niech pan nie wspomina o tém nikomu.

— Możesz być o to zupełnie spokojną, odpowiedział śmiejąc się Lydney. Kłaniaj się panu odemnie.

Sally nie zdołała zwieść Williama Lydney, i chociaż śmiał się mówiąc do niéj, to co usłyszał sprawiło na nim nader przykre wrażenie. Było to potwierdzeniem wieści krążących o Wilfridzie, chociaż dotąd nie śmiano jeszcze powtarzać ich głośno.

W kilka minut późniéj zatrzymał się przed nędzną chatą, która, jak się domyślał, musiała należyć do Goody Bean. Drzwi i okiennice były szczelnie zamknięte, i gdyby nie hałas dochodzący do niego, mógłby sądzić że Shad i babka jego już się spać położyli. Raz pełne wściekłego gniewu krzyki wydobywały się z piersi staréj kobiety, to Shad wrzeszczał rozpaczliwie, jak gdyby obdzierano go ze skóry.

Lydney pukał do drzwi i do okiennic, ale wewnątrz chaty hałas był tak silny że tego nie słyszano wcale.

„Niegodziwy bębnie! krzyczała stara, nie szczędząc najstraszniejszych przekleństw, wykradasz babce oszczędności tak krwawo zapracowane! Niegodziwcze! skończysz na szubienicy!

— To nie wasz pieniądz, oddajcie mi go! wrzeszczał Shad. To ten nieznajomy pan dał mi go za to co mu powiedziałem o jego szkatułce; przysięgam na to. No! oddajcie!

— Nikczemny kłamco! Ty miałbyś dostać taki srebrny pieniądz!... Czy ty dziś nie wyjdziesz? Już od pół godziny powinienbyś pójść na zwiady.

— Nie, nie pójdę. Nie ruszę się ztąd dopóki mi nie oddacie mego szylinga. Chcę sobie kupić za niego szarego królika od Neda Long.

Nastąpiła nowa bójka z krzykiem i przekleństwami; ale skończyła się wkrótce zwycięztwem odniesioném przez Shada, który też zawołał tryumfującym tonem: „A! mam przecie!“ Pan Lydney zapukał głośno do okiennicy.

Nastąpiło głuche milczenie; widać że to pukanie przestraszyło obie strony wojujące. Lydney usłyszał jakiś przytłómiony szmer, po tém coś podobnego do trzaśnięcia drzwiami. Zapukał powtórnie.

Uchylono ostrożnie okno po prawéj stronie, i ukazała się w niém czerwona i pomarszczona twarz

starej kobiety, Była to Goody Bean w przekrzywionym i podartym czepcu— zapewne w skutek jéj walki z wnukiem—drżąca tak silnie jakby miała paroksyzm febry.

„Czy tu zabijacie kogo? zapytał pan Lydney.

— Mówiłam głośno pacierze, odpowiedziała stara. Czego pan potrzebuje?

Bezczelność odpowiedzi zamknęła na chwilę usta Lydney'owi. Na co się zdało pytać o co takiéj czarownicy? Chciałbym widzieć Shad'a.

— Shad'a! A! nie mogę go budzić; dawno już śpi.

— Jak śmiesz tak kłamać bezczelna kobieto? Przed chwilą zaledwie ty i Shad skakaliście sobie do oczu wydzierając sobie szylinga. Muszę powiedzieć ci nawiasem, że pieniądz ten jest rzeczywiście jego własnością: ja mu go dałem.

— Czy być może! więc to prawda. O! jakiż to dobry i szlachetny gentelman rzekła stara zmieniając nagle ton głosu. Może pan ma przy sobie i teraz pieniądze i zechce wspomódz biedną wdowę, prawie umierającą z głodu. Będę się modlić za pana. O! z pewnością codzień modlić się będę.

— Gdy bym nawet miał wszystkie kieszenie pełne pieniędzy, nie dałbym ci nic, stara oszustko. Co zaś do twoich modlitw to sądzę że nie przyniosą one żadnéj korzyści ani tobie ani innym. Powtarzam że potrzebuję widzieć Shad'a.

— Przysięgam, mój dobry panie że Shad już śpi dawno, a budzić go nie mogę. Takie delikatne i słabowite dziecko jak on potrzebuje spoczynku!... To jedyna moja podpora i pociecha; gdybym go straciła, umarłabym ze zmartwienia. Niech pan przyjdzie rano o którejbądź godzinie, a będzie panu służył jak najchętniéj. Zaniosłam do łóżka mego biednego aniołka, i teraz śpi spokojnie.

— Doprawdy nie zdarzyło mi się nigdy spotkać nikogo coby potrafił kłamać tak bezwstydnie. Shad śpi, tak samo jak ja w téj chwili, i parę minut temu biliście się z sobą zapalczywie. Jak możesz kłamać tak szkaradnie, stojąc już jedną nogą w grobie!

— A! panie, koło chat naszych dają się słyszeć niekiedy takie dziwne krzyki. Mówią o tém wiele, i bardzo słusznie. To czarownice tak kłócą się w krzakach, i to pan słyszał zapewne...

— Pytam się raz jeszcze, czy przyślesz do mnie Shada?

— A! chciałabym szczerze przysłużyć się tak grzecznemu panu, ale nie mam odwagi budzić mego biednego wnuka... Nie, nie uczyniłabym tego gdyby mi pan nawet chciał za to płacić.

— Dosyć już, dosyć,—idź także spać stara czarownico, rzekł pan Lydney widząc że napróżno nalegałby dłużéj. Trzeba było czekać do jutra.

Postanowił obejść chatę do koła sądząc że z drugiéj strony znajdzie prostą i krótszą drogę do *Gospody Marynarzy*, i wtenczas zobaczył drugie drzwi po przeciwnéj stronie. „Aha! pomyślał, pan Shad i jego babunia zabezpieczyli sobie odwrot w razie potrzeby.

Poszedł daléj ścieżką węższą niż mu się z początku zdawało, i poprzecinaną miejscami kępami krzaków. Pomimo że księżyc świecił, w lesie było zupełnie ciemno. Nagle zobaczył jakiegoś człowieka usiłującego przedrzéć się przez gęstwinę. Skrył się za drzewo, i zaczął przypatrywać mu się uważnie.

Był to Wilfrid Lester. Uciekał śpiesznie, zadyszany i jakby przestraszony. Przebiegł z podwójną szybkością w jednéj prawie chwili przestrzeń nie ocienioną drzewami, zagłębił się znów w las po drugiéj stronie, i zniknął wkrótce między krzakami, w kierunku swego mieszkania.

Lydney nie myślał iść za nim, wiedząc że zabłądziłby wkrótce w gęstwinie, nie znając drogi, zadawał sobie tylko pytanie co mogło być powodem téj ucieczki; przyszły mu wtenczas na myśl słowa Sally kiedy wzięła go za swego pana, i zaczął obawiać się jakiegoś nieszczęścia. Znów szmer jakiś wyrwał go z zamyślenia.

Tąż samą ścieżką przez którą biegł dopiero Wilfrid Lester, czołgał się teraz na rękach i kolanach pan Shad, jak pies szukający tropu zwierzyny. Zatrzymał się dopiero przy drodze, i nie domyślając się że go ktoś widzi i słyszy, rzekł głośno do siebie patrząc w tę stronę w którą udał się Wilfrid.

„A! wrócił do legowiska, nie potrzebuję już dziś śledzić go dłużéj. Pójdę i opowiem *jéj* teraz wszystko. *Ona* powinna o tém wiedzieć.

Lydney wyciągnął już rękę aby przytrzymać małego szpiega, ale cofnął ją nagle.

„Lepiéj pójść za nim pomyślał, i przekonać się co daléj będzie. Widocznie ktoś szpieguje tego nieszczęśliwego Wilfrida, knuje przeciwko niemu jakieś spiski, i pragnie jego zguby. Co prawda biedny chłopiec tak gorliwie do tego sam dopomaga, że nie będzie temu winien jeżeli nie wpadnie w łapkę.

Shad po chwili poszedł daléj pozostawiając za sobą chatę Goody Bean; kiedy doszedł do brzegu lasu dotykającego prawie do domu squira Lester, zwrócił się nagle na prawo pomiędzy drzewami. Pan Lydney szedł za nim zdaleka. Szczupły i zwinny, mógł równie łatwo jak Shad przesuwać się w gęstwinie, a jeżeli Shad zatrzymał się czasem, i on czynił toż samo.

Chłopak przyczepił się jak wąż do drzewa rosnącego przy drodze i pozostał tak czas jakiś. Lydney przysunął się teraz tak blizko że mógł widzieć i słyszéć wszystko, a w myśli zadawał sobie pytanie, co zobaczy i usłyszy, oraz komu to Shad służy tak gorliwie?

Chłopak gwizdnął parę razy, i jakaś kobieta otworzyła ostrożnie furtkę prowadzącą do części domu zajmowanéj przez służbę pana Lester, przebiegła w poprzek drogę zgięta we dwoje, wsunęła się między drzewa, i tam się zatrzymała. Pan Lydney poznał w niéj szafarkę z Hall, słodziuchną Tiffle.

— „I cóż? zapytała sucho.

— Wrócił prosto do siebie, odpowiedział Shad. Trafiłem na gorącą sprzeczkę między nim a Beecher'em, Drake'm i jakimś jeszcze trzecim; o ile mi się zdaje był to Bill Nicholson. Lester wyrzucał im to że chcą uderzyć na strażników, i przekładał że nie obejdzie się bez rozlewu krwi. Sprzeczali się długo, a w końcu Lester przysiągł że wyrzeka się na zawsze wszelkiego wspólnictwa z nimi, poczém wziąwszy nogi za pas, uciegł do kotażu. Jakże teraz będzie, pani Tiffle, jeżeli zostanie tchórzem, to zapewne nie mam po co chodzić za nim.

— Jakimże sposobem dowiedzieli się gdzie strażnicy mają czatować na nich.

-- Tego nie wiem; słyszałem tylko koniec ich rozmowy.

— W takim razie spóźniłeś się, niegodziwy hultaju! leniwcze!

— Tak, spóźniłem się, ale to nie moja wina tylko babki. Napadała na mnie z taką zajadłością że mnie prawie zabiła. Trzeba koniecznie, pani Tiffle, abyś się kiedy ukryła w jakim kącie, żeby zobaczyć jaka to ona jest kiedy się rozhuka. Zdawałoby -się że to dyabeł wypuścił babkę swoją z piekła. Gryzła mnie, kopała nogami, drapała, i wyrywała mi garściami włosy.

Shad mówiąc to pokazywał jéj jednocześnie na twarzy i rękach siniaki i ślady zębów i paznokci babki. Tiffle rozczuliła się nagle i pan Lydney zadziwił się szczerze, widząc że pochwyciła chłopca w objęcia, i z wyrazem najżywszéj czułości całowała zasinione miejsca.

— Moje biedne dziecko! twoja babka w złości staje się podobną do hyeny. Za cóż cię biła?

— To stara jędza! odpowiedział Shad, wyzwalając się z uścisków Tiffle, któréj pieszczoty nie zdawały się sprawiać mu najmniejszéj przyjemności, plondruje mi zawsze po kieszeniach, i dziś znalazła w nich szylinga. Wtenczas zaczęła się zaklinać że to jéj własny, że ją okradłem, i przywłaszczyła go sobie. Ma się rozumiéć że ja znów usiłowałem wydrzéć jéj mego szylinga. Rozpoczęła się bitwa co się nazywa: i ktoś zaczął się dobijać do drzwi, to nas uspokoiło i wybiegłem z domu.—Bądź co bądź odzyskałem co moje, dodał wesoło Shad wyjmując z kieszeni srebrny pieniądz, i pokazując go Tiffle z tryumfującą miną. Niech teraz stara czarownica szuka go we wszystkich swoich kieszeniach.

Tiffle zmarszczyła groźnie brwi. Przekonana że jeżeli pieniądz nie należał rzeczywiście do Goody Bean, to musiał być skradziony komuś innemu, zawołała z gniewem:

— Niegodziwy chłopcze! jeżeli teraz już zaczynasz wyciągać z cudzéj kieszeni, to cię nie minie szubienica. Komu wziąłeś te pieniądze, hultaju?

— Masz tobie! tego jeszcze brakowało. Doprawdy, pani Tiffle, jesteś gorszą jeszcze od babki. Może chciałabyś mi także zabrać mojego szylinga?.. Dostałem go od pewnego pana.... tak dostałem.

— Dostałeś? za co?

— Za to co mu powiedziałem o jego szkatułce. To ten wysoki szczupły, co mieszka w *Gospodzie Marynarzy*. Zapytał mi się czy widziałem te rzeczy które znoszono do pałacu, a ja odpowiedziałem że tak. Wtenczas obiecał mi, że jeżeli mu powiem prawdę, ale szczerą prawdę, czy wniesiono szkatułkę do pałacu, da mi szylinga. Ja mu też powiedziałem prawdę i dotrzymał słowa.

— Czy widziałeś tę szkatułkę na wozie, już przed pałacem? zapytała żywo Tiffle.

— Jakże nie miałem widzieć, kiedy tam stałem i patrzyłem na nią.

— I zaniesiono ją z pewnością do pałacu?

— Z największą, najzupełniejszą pewnością. Zaniosło ją tam dwóch młynarczyków, i ten niedołęga Bruff byłby ją widział równie dobrze jak ja, gdyby nie zaczął rozmawiać z jakąś panią która przechodziła koło pałacu.

— Ten młody pan, Shadzie, nazywa się Lydney i...

— O! wiem.., wiem dobrze.

— No to pamiętajże zwracać baczną uwagę na tego Lydney'a. Śledź wszystkie jego czynności, i nie spuszczaj go z oczu również jak Wilfrida Lester. Wygląda na gentlemana, ale mógłby także być jednym z tych paniczyków polujących na zegarki, pierścionki i inne kosztowności. Wiem że lord Dane posądza go także o coś podobnego. Staraj się zbierać o nim jak najwięcéj wiadomości, jest mi to potrzebne. Nie zapominaj także uwiadomić mnie za każdym razem, skoro go spotkasz razem z miss Lester.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za twoją troskliwość, nieoceniona panno Tiffle, pomyślał Lydney.

— Już nie raz widziałem ich razem; powiedział Shad. Nawet i dziś wieczorem odprowadził ją do Hall, ten Lydney, a następnie chodził po lesie w tę

i ową stronę... Ale, ale zapomniałem jeszcze powiedzieć, że miss Lester znów była dziś u brata.

— Wiem o tém, mruknęła Tiffle. No, już dzisiejszéj nocy nie masz nic do roboty, wracaj prędko do domu i połóż się spać.

— Tak, a jeżeli babka znów na mnie napadnie, odpowiedział Shad z płaczem.

— To już moja rzecz, nie troszcz się o to.

Po tak zaspakajającéj odpowiedzi, Shad zagłębił się w las, a Tiffle, obejrzawszy się pierwéj na wszystkie strony, przebiegła prędko przez drogę. Już miała otworzyć furtkę, kiedy zobaczyła jakiegoś mężczyznę idącego śpiesznie drogą wiodącą do kotażu miss Bordillion. Był to lord Dane, wracający od stacyi kolei, znajdującéj się niedaleko kotażu, i wybrał tę drogę jako najbliższą do pałacu. Tiffle poznała go zdaleka i umyślnie czekała aby zbliżył się do niéj.

„Czy być może! to panna Tiffle! zawołał lord wesoło. Jak widzę odbywamy przechadzkę przy świetle księżyca.

— A! milord żartuje. Już dawno minął dla mnie czas właściwy do przechadzek przy księżycu; pozostawiam to młodym... którzy też korzystają chętnie z przywileju właściwego ich wiekowi. Dziś naprzykład wieczorem widziałam miss Lester spacerującą z tak widoczną przyjemnością, przy świetle gwiazd, że mi to przypomniało moje młode lata, milordzie.. Miała tak sentymentalną minkę idąc obok tego młodego gentlemana wyrzuconego przez burzę na nasze brzegi.

Gdyby Tiffle mówiła to w dzień, nie odważyłaby z pewnością patrzéć jednocześnie tak bystro na lorda Dane, ale wieczorem mogła bezkarnie sprawić sobie tę przyjemność. Wiedziała że cios wymierzony przez nią ugodzi w samo serce, i chciała nacieszyć się widokiem zadanéj rany.

„Burza może tak samo wyrzucić łotra jak i gentlemana, odpowiedział jego wielmożność, z widocznem niezadowolnieniem. Jakiś Amerykanin nikomu nieznany, nie jest bynajmniéj towarzyszem dla miss Lester. Dobranoc, Tiffle.

Pan Lydney stojący ciągle za drzewem, nie stracił ani jednego słowa z téj rozmowy. Droga w tém miejscu była dość wązka, a noc tak cicha że można było dosłyszéć wyraźnie najlżejszy nawet szelest.

Lord Dane poszedł daléj a Tiffle znikła; Lydney obawiał się jednak czy nie przyczaiła się w jakim kącie, i zamiast wyjść na drogę wszedł głębiéj w las, chcąc dojść do dróżki prowadzącéj prosto do Danesheldu.

Widać że los skazał pana Lydney téj nocy na różne niespodzianki i spotkania, bo zaledwie zapuścił się w najgęściejszy las, spotkał się oko w oko z jakimś młodym, o ile mógł dojrzéć, mężczyzną, przesuwającym się ostrożnie między drzewami, i który spostrzegłszy go odskoczył nagle w tył, i wymierzył strzelbę jakby zamierzał strzelić do niego.

— Hola! przyjacielu; czy cię co opętało? zapytał spokojnie Lydney, zechciéj, proszę cię, opuścić broń, i pozostaw ją w spokoju.

— Jeżeli nie powiesz kto jesteś i co tu robisz, to cię zabiję.

— Dziękuję najzupełniéj za tak dobre chęci. Czy masz większe niż ja prawo spacerowania po tym lesie? Radbym dowiedziéć się o tém.

Lydney wyrażał się bardzo grzecznie. Nieznajomy przyglądał mu się czas jakiś uważnie, co zdawało się uspakajać go stopniowo. Sądził dotąd zapewne że spotkał strażnika leśnego.

— Czy przyszedłeś tu po to aby mnie szpiegować? zawołał.

— Bynajmniéj. Ale proszę przyznać że ja także mógłbym zadać to samo pytanie. Widzę cię, mój panie, po raz pierwszy, nie wiem kto jesteś, czegóż więc miałbym śledzić twoje czynności. Doprawdy, możnaby sądzić że uciekłeś z domu obłąkanych.

Nieznajomy opuścił strzelbę.

— Wybacz mi pan, wziąłem pana za kogoś innego. Ale bo też kogóż można spodziewać się spotkać o téj porze w lesie, jeżeli nie jakiegoś łotra, czyli którego z tych przeklętych strażników—niech ich piorun spali!—zawsze czyhających na zgubę niewinnych ludzi.

Pan Lydney roześmiał się głośno. Był w tym wieku że bawiły go jeszcze podobne awanturki.

— Czy zastanowiłeś się dobrze nad tém co powiedziałeś? Mówiąc że można tylko spotkać jakiegoś łotra, miałeś zapewne na myśli złodziei zwierzyny?

— I strażników także, mruknął nieznajomy.

— Wybornie! Ale ja nie jestem ani jednym ani drugim, i zaręczam, co do mnie, nie mam nic przeciwko temu abyś spacerował od pierwszego stycznia do trzydziestego pierwszego grudnia z fuzyą w jednéj a siecią w drugiéj ręce, jeżeli ci to sprawi przyjemność. Na moich gruntach, może nie pozwoliłbym na to.

— Ale może pan rozgłosi zaraz jutro, że mnie tu spotkał w nocy ze strzelbą.

— Jakże mógłbym to uczynić nie znając ani ciebie ani twego nazwiska? Ale jeżeli żądasz mego słowa, to daję ci go chętnie. Życie krótkie, mój poczciwcze, i lepiéj w ciągu niego czynić dobrze jak źle, a zwłaszcza też tym na których uskarżać się nie mamy powodu.

Złodziej zwierzyny, zadziwiony tak tonem jak i sposobem wyrażania się do którego nie był wcale przyzwyczajony, czuł się opanowanym poniekąd przez jakieś dziwne uczucie, z którego nie umiał sobie zdać sprawy.

— Pan jest, o ile mi się zdaje, gentlemanem mieszkającym w Gospodzie Marynarzy. W takim razie szkatułka pana mało co nie ściągnęła na mnie wielkiéj nieprzyjemności.

— A to jakim sposobem? zapytał z żywością Lydney.

— Wracając do domu, przechodziłem około pałacu przed którym zdejmowano ją właśnie z wozu i zatrzymałem się tam na chwilę. Inspektor policyi dowiedział się o tém, jakimś sposobem, i wyobraź pan sobie ze mnie zawezwał wczoraj do swego bióra. Wyobrażał sobie może ze uniosłem szkatułkę na plecach, lub też widziałem kto ją porwał. Roześmiałem im się w oczy. Mały Shad i paru jeszcze podobnych jemu, stali tam obok mnie, i mogą zaświadczyć że nie zbliżyłem się nawet o tyle do woza abym mógł czegoś dotknąć choćby końcem palca.

— Może widziałeś pan wtenczas szkatułkę; lub czy przynajmniéj nie słyszałeś aby coś o niéj mówiono?

— Nie widziałem jéj wcale, nie ma w tém jednak nic dziwnego, jeżeli jak mówią, była na samym spodzie, pod innemi rzeczami. Stałem zalewie kilka minut przy wozie, kiedy było jeszcze na nim wiele rzeczy.

— Nie domyślasz się kto ją mógł wziąść, lub gdzie ją ukryto?

— Tego nie umiem powiedziéć... co prawda, nie myślałem o tém wcale. Ten Shad jest tak zręczny jak sroka, ale mówią że szkatułka była zbyt ciężką aby ją mógł udźwignąć.

— Wynagrodziłbym hojnie tego, ktoby mi ją do pomógł wynaleźć nienaruszoną.

— Czy naprawdę! zawołał chciwie złodziej zwierzyny, jakby te słowa miały dla niego jakiś nieopisany urok.

— Dam pięćdziesiąt funtów.

— Pięćdziesiąt funtów! zawołał nieznajomy, równie zdumiony jak Bent, gdy usłyszał o pięciuset.

— Tak, wypłacę pięćdziesiąt funtów, nie zadając żadnych pytań, jeżeli tylko szkatułka zostanie mi oddaną jutro przed wieczorem. Późniéj może nagroda będzie wyższa, ale trzeba się będzie tłomaczyć, i to jasno... uprzedzam o tém zawczasu.

— Do kata! warto się tém zająć; znam paru dobrych chłopaków... bardzo biegłych w tém rzemiośle... to jest skrzętnych i zabiegliwych... pomówię z nimi o tém.. A więc zgoda, panie, jeżli wynajdę skrzynkę, odzyskasz ją pan na wymienionych warunkach... No! ale ich pan dotrzymasz, co?...

— Daję ci moje szlacheckie słowo że wypłacę przyrzeczone pięćdziesiąt funtów, żadnych nie zając pytań. Zdaje mi się że przyjaciele twoi udzielą ci potrzebnych wskazówek.

Ben Beecher młodszy (on to był bowiem) tak owładnięty był urokiem téj „złotéj nadziei" iż nie zwrócił uwagi jak niepochlebną dla niego była ta uwaga pana Lydney. Ofiarował on się wskazać mu krótszą. w poprzek lasu ciągnącą się drogę, którą można dojść prosto do *Gospody Marynarzy*, i przeprowadziwszy go prosto do gościńca znanemi sobie ścieżkami, szybko wszedł między drzewa, gdy wtém przywołał go jeszcze pan Lydney.

— Wszak dotrzymasz przyrzeczenia zapytał.

— Możesz pan być pewny że odzyskasz swoją szkatułkę, jeżli odnalezienie jéj jest możebném. Alezy nie zechcesz pan zejść się ze mną w tym lesie. namyśliwszy się, nie życzę sobie aby mnie widziano rozmawiającego z panem w *Gospodzie Marynarzy*.

Od minuty może słuchał rozmowy téj ktoś trzeci, którego obecności nie domyślali się bynajmniéj świadkiem tym był lord Dane. Rozstawszy się z Tiffle. zboczył on z drogi aby dowiedziéć się o zdrowiu leśniczego swego Kattley'a, zranionego w bójce ze złodziejami zwierzyny, który bardzo powolnie odzyskiwał zdrowie. Zabawiwszy u niego kilka minut, lord wracał śpiesznie do pałacu, gdy nagle posłyszał głosy rozmawiających na skraju lasu.

Poznawszy Ben Beecher'a, przyszli mu zaraz na myśl złodzieje zwierzyny sprawiający mu od pewnego czasu tyle nieprzyjemności, nie namyślając się, tak szybko, cicho i ostrożnie cofnął się i ukrył w gęstych zaroślach, jak gdyby któryś z ich bandy. Ze swego ukrycia mógł patrzéć niewidziany. Tak, nie omylił się, jednym z rozmawiających był rzeczywiście Ben Beecher z dubeltówką w ręku; drugiego nie mógł widziéć, gdyż prawie zupełnie zasłaniało go drzewo; wnosząc jednak ze wzrostu, zdawało mu się że to Drake albo Bill Nicholson. Powstrzymał oddech aby dosłyszéć co ostatni mówi właśnie do swego towarzysza.

„Czemuż nie chcesz tam przyjść?

Lord Dane przypominał sobie niewyraźnie że głos ten gdzieś słyszał—to pewna, pomyślał sobie, że to nie Nicholson.

— Mam swoje powody, odrzekł Been Beecher; wolę aby nie widziano że działam w tym interesie za porozumieniem z panem. Przyjdź pan tu jutro o ósméj wieczorem.

— Niech i tak będzie, odrzekł głos intrygujący lor da Dane; przyjdę o saméj ósméj. Do widzenia.

— O saméj ósméj... do widzenia, powtórzył machinalnie lord Dane: dobrze, ale będzie tam także ktoś którego się nie spodziewacie... Gdzie, u licha! słyszałem ten głos?—i wychylając nieco głowę, starał się koniecznie zobaczyć idącego w téj chwili ku niemu. Odskoczył zdumiony.

Lydney!... Jego wysokość przetarł oczy żeby się przekonać że nie marzy. Ani chwili nie przyszło mu na myśl aby jutrzejsza schadzka i obecna rozmowa, mogły się odnosić do czego bądź innego jak do kradzieży zwierzyny... Nie mógł ochłonąć z zadziwienia.

A więc ten Lydney, to jeszcze nikczemniejsza, podlejsza figura niż myślał!... „Dałbym głowę w zastaw że ukradł komuś tę szkatułkę! zawołał mimowolnie, i może właśnie uciekł z Ameryki, aby nie zostać schwytanym!"

Pan Lydney był już wtedy daleko; śpiesząc się powrócić do *Gospody Marynarzy*. Przyszedłszy tam udał się zaraz do saloniku pani Ravensbird, która właśnie kończyła wieczerzę. Usiadł obok niéj i zaczął rozmawiać, czyli raczéj rzucił kilka słów nic nie znaczących a pozwolił jéj mówić wiele, i nareszcie nieznacznie skierował rozmowę na młodego Bena.

— A! cała ta rodzina licha warta, rzekła potrząsając głową. Ojciec był przemytnikiem, syn jest złodziejem zwierzyny—obaj ladaco.

— Wszak syn jeszcze podobno bardzo młody?

— Tak, nie ma jak lat dwadzieścia, stary Beecher późno się ożenił.

— Zdaje mi się że jest on lepiéj niż inni równego mu stanowiska młodzi ludzie.

O! mógłby być bardzo dobrze, gdyby chciał tylko, odrzekła pogardliwie Zofia. Matka jego była bardzo zacna kobieta i pobierał jakąś pensyę dożywotnią. Mieszkała gdzieś daleko ztąd, i mówią że stary Beecher oszukał ją co do swego stanowiska i środków utrzymania. Dopokąd żyła, dobrze wychowywała syna i nawet posyłała go do szkoły.. Ale po jéj śmierci, wszystko szło coraz gorzéj, chłopak zaczął się rozpuszczać i dziś stał się wstrętnym próżniakiem.

Lydney zrozumiał teraz zkąd pochodzi owe stosunkowo lepsze wysłowienie i obejście Bena Beecher, które zadziwiło go w człowieku jego stanu.

Rozdział VII.

Odkrycie uczynione Wilfridowi Lester.

Nazajutrz po téj burzliwéj nocy, Wilfryd Lester siedział w swoim skromnym saloniku, zajęty przyrządzaniem sztucznych owadów do połowu ryb. Ale umysł jego pracował więcéj niż ręce; rozmyślał nad zeszłemi w nocy wypadkami.

Gdyby był lepszym obserwatorem, byłby niezawodnie zauważył niepokój i pomieszanie odbijające się w twarzy żony, leżącéj obok niego na kanapie, która nie spuszczała z niego oczu. Biedna Edyta! jakże strasznie była zmieniona!... Twarz wychudła, śmiertelna bladość pokrywająca policzki, zapadłe oczy połyskujące gorączkowym blaskiem, większe niż zwykle osłabienie i biały osłaniający ją negliż, czyniły ją podobną do widma pokrytego całunem. wa czy trzy razy otwierała usta, chcąc przemówić, i zdawało się że brak jéj sił... a nadewszystko odwagi. Nareszcie, jakby rozpaczą popchnięta zapytała drżącym głosem:

„Gdzie byłeś téj nocy, Wilfridzie?

Spojrzał na nią bystro i niespokojnie.

— Gdzie byłem dziś w nocy?... właściwie nigdzie. A! niech licho porwie tę linkę!... tak włóczyłem się bez celu... z tym się spotkałem .. to znów pomówiłem chwil kilka... w tém wszystkiém nie ma nic ważnego.

— Zawsze mnie zbywasz podobną odpowiedzią. Wilfrydzie, rzekła ze drżeniem. A jednak wychodziłeś z dubeltówką.

— A tak, kurek się obluzował, chciałem zanieść go do naprawy, ale warsztat ślusarski był zamknięty... To powiedziawszy zaczął pogwizdywać jakąś znaną piosenkę.

Na nieszczęście kilka dni przedtém, Edyta słyszała mimowolnie pewną rozmowę, która zadała jéj cios nader bolesny.

Sally wieszała w kuchni bieliznę przy otwartém oknie, a ktoś z mieszkańców Danesheldu przechodząc около kotażu zatrzymał się chwilkę aby z nią porozmawiać: Edyta będąca w przyległym pokoju, słyszała dopytywania i uwagi odnoszące się do jéj męża, które przejęły ją przerażeniem i trwogą. „Czy to prawda, pytano, że pan Wilfrid Lester był jednym z głównych z napastników w bójce w któréj Kattley padł prawie bez życia? — Czy prawda że wychodzi co noc?—Jeźli tak, to jak słońce na niebie, pierwszego lepszego dnia zostanie schwytany i skazany na deportacyę.

Te tak przykre dla młodéj kobiety pytania i uwagi, stały się boleśniejszemi jeszcze z powodu zbyt przesadzonych zaprzeczań służącéj—poczciwa Sally za daleko posunęła swoją gorliwość, i broniła pana kłamstwem. Zaręczała najbezczelniéj że pan Wilfrid Lester nigdy już po zachodzie słońca nie wychodzi z domu, że codziennie wtedy czyta książki swojéj żonie, aż do chwili gdy oboje udają się na spoczynek Nawet stara Bean nie potrafiłaby kłamać z taką bezczelnością.

Niewysłowiona trwoga ogarnęła nieszczęśliwą Edytę; widziała już męża uwięzionego i skazanego; widziała się samotną, opuszczoną, odepchniętą przez wszystkich jakby klątwa jakaś ciężyła na niéj, a gdy zrozpaczona zawlokła się do kuchni prosić Sally aby jéj wytłomaczyła o co idzie, wierna służąca zaparła że mówiła coś podobnego i wmawiając w swą młodą panią że jéj się to chyba śniło.

— Ale darmo—nie mogła cofnąć co się stało.

„Dla czego wolisz zawsze wychodzić w nocy, Wilfrydzie? pytała.

— Och! to wszystko jedno; wszak wychodzę tylko aby się przejść trochę, odrzekł przestając gwizdać, poczém gwizdał znowu.

Wilfrid lepiéjby zrobił gdyby był poważniéj odpowiadał na pytania żony, taka przesadzona obojętność sprawiła wprost przeciwny skutek niż go osięgnąć pragnął. Wyobraźnia młodej kobiety żywiéj jeszcze została podniecona. Gorączkowym ruchem odrzuciła w tył włosy, zerwała się prawie nieprzytomna, i pochwyciła rękę męża.

— Edyto, co ci się stało? zawołał przestraszony.

— Ach! Willy, powiedz mi prawdę, czy brałeś udział w bójce złodziei zwierzyny z biednym Kattley?

— Cóż znowu! odrzekł śmiało (i rzeczywiście zdawał się mówić szczerze)... szalona jesteś, Edyto!... cóż jeszcze wymyślisz aby się dręczyć daremnie... Nie byłbym zdolny napastować strażnika, zarówno jak nie mógłbym dobrowolnie zrobić tobie jakiéj przykrości.

— Czy... kiedykolwiek.., dopomagałeś do zastawiania sieci?...pytała drżącym od wzruszenia, zaledwie dosłyszanym głosem.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

— Gdybym się puszczał na takie sztuczki, lord Dane miałby na co zasłużyć, bo od czasu jego powrotu prawie jeść co nie mamy. I ojciec mój nie miałby prawa się skarżyć choćbym mu nie zostawił ani jednéj sztuki zwierzyny dla niego i jego lady Adelajdy... No, uspokój się droga, Edyto, oboje nie mamy się czego obawiać.

— Willy, jabym umarła gdyby cię spotkało jakieś nieszczęście... Proszę, powiedz czy prawda co mówią.

— Nie, Edyto, nie prawda! odrzekł prędko, jakby słowa te paliły go w gardle. Zaklinam cię, droga moja, nie męcz się tak szalonemi myślami, bo możesz zupełnie stracić zdrowie. Gdyby nie ty, Edyto, pewnie rzuciłbym się w jakąś szaloną awanturę; może wtedy ojciec zawstydziłby się że mnie skazał na takie okropne położenie i zmienił postępowanie... Dla ciebie jedynie, aby cię nie wystawiać na cierpienia i niepokój, zachowuję się spokojnie.

Wzruszenie wyczerpało siły Edyty, upadła na sofę blada, smutna, nieprzekonana.

— Edyto droga, zastanów się tylko, gdybym polował po nocach, czyż zbywałoby ci na posilniejszém pożywieniu.

— Ależ na niczém mi nie zbywa, zawołała żywo. Och! Willy nie troszcz się o mnie.., wkrótce odzyskam siły. Prawda, ciężkie mamy do przebycia chwile, ale bądźmy cierpliwi, a będzie lepiéj; O! ja jestem tego pewna... Cierpliwości, módlmy się i ufajmy w Bogu. Powiadają że jesteśmy ukarani za nasze nieposłuszeństwo, i że nie mogliśmy się nic lepszego spodziewać... może mają słuszność... ale ja mam przeczucie że wszystko się dobrze skończy...

Że wszystko może się skończyć—i to niezadługo, Wilfrid wiedział o tém... ale nie obiecywał sobie żeby się skończyło dobrze. Przygotowywał swoje wędki, na pozór spokojny i wesoły, ale serce jego ściskało się boleśnie na myśl tak smutnéj doli ukochanéj żony, uczuwał ciężki żal do ojca i zaciętą nienawiść do macochy, będącéj przyczyną wszystkich jego cierpień. Po chwili przerwał robotę i poszedł do kuchni po jakieś potrzebne mu narzędzie. Sally siedziała przy stole, łuskając bób.

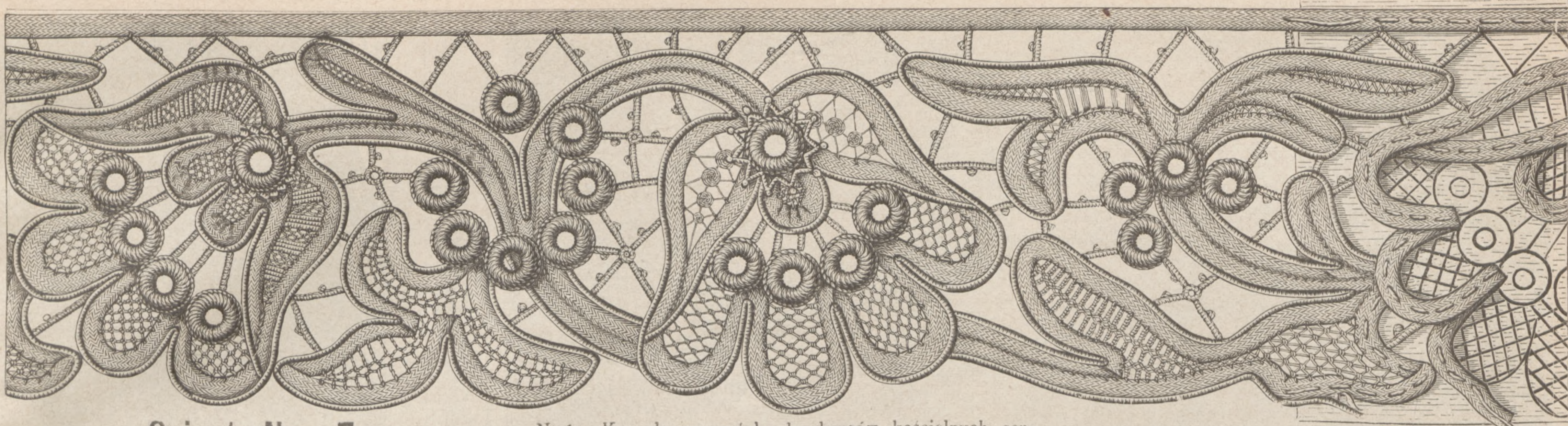
— A! otóż mam moje szczypczyki... Ale gdzież moja butelka z gummą?

— Stoi na półce, odrzekła Sally, ale jest próżna. Ale, powiedzno pan, dodała poufale, co dziś damy dla pani, boć przecie tego jeść nie może, rzekła, pokazując bób.

— Jest kuropatwa w śpiżarni.

— Prawdę mówiąc te kuropatwy już się pani sprzykrzyły; probując czasem zjeść kawałek, ale, równie jak ja, ma teraz wstręt do zwierzyny. Trudno, słaby nie może sobie powiedzieć że coś będzie lubić lub nie.. nie w naszéj to mocy.. a wie pan przecie, że już od miesiąca pani nie ma innego pożywienia prócz zwierzyny. Już staram się przyprawiać ją na różne sposoby, to piekę, to duszę, to robię potrawki, raz nawet posiekałam i zrobiłam kotlety—nic to wszystko nie pomaga, bo zawsześ to kuropatwy, tylko pod inną podane postacią, a pani coraz większy ma wstręt do nich. Nie chce panu tego mówić, ale żołądek jéj już ich trawić nie może—trudno taić dłużéj.

(d. c. n.)



N. 1. Koronka genueńska do obrusów kościelnych, serwet, i t. p. Patrz ryc. 2—5.

Opis do N-ru 7.

(*ciąg dalszy*).

N. 5—7. Żabot albo ubranie na głowę z gałązką kwiatów i motylem.

Tiul czarny 5 cent. szeroki, wywodzony nitką srebrną, naszywa się wachlarzowo na pasku sztywnego tiulu, 11 c. długim a 5 szerokim. W górnym końcu obok gałązki kwiatów, przyczepiony jest na ruchomej sprężynce drucianej motyl, wyszyty bajorkiem i sznureczkiem srebrnym, na czarnym tiulu, albo odrobiony na tiulu białym ściegiem koronkowym; wzór do motyla na ryc. 7.

24. 25. 26. 27.

N. 2—5. Wykonanie kółek do koronki r. 1.

N. 9. Rękaw do sukni ryc. 31 i 35.

N. 6. Przykrycie na lampę.

N. 7—8. Pasek i wachlarz.

N. 10. Rękaw do sukni ryc. 31 i 35.

N. 8 i 19. Kokarda alzacka ozdobiona haftem łańcuszkowym.

Stosownie do szerokości wstążki aksamitnej lub atłasowej, kokardę układa się z 2 lub 4 pukli i dwóch końców, przewiązanych węzłem, które ozdobione są haftem albo wyszyte sznureczkiem srebrnym lub złotym. Model kokardy zrobiony był z aksamitki czarnej 6 cent, szerokiej, wyszytej na dwóch puklach i jednym końcu ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem cieniowanym oliwkowym i niebieskim i nitką złotą. Deseń na rycinie 19.

N. 11. Szkatułka na kosztowności lub do robót.

N. 12. Serwetka wyszyta półkrzyżykami. Patrz ryc. 13.

N. 14. Sukienka princesse dla panienki lat 10 — 12.

N. 9 i 20. Kokarda do kołnierzyka ozdobiona wyszyciem złotem i haftem krzyżykowym.

Kawałek wstążki „serge" 8 1/2 cent. szerokiej, 50 cent. długi, w środku w podwójny węzeł przewiązany, w końcach ozdobiony haftem i frendzlą, stanowi kokardę do kołnierzyka. Model był ze wstążki koloru żółtawego, prawie białego, wyszytej podług wzoru naturalnej wielkości ryc. 20, ściegiem krzyżowym, filozelą trawno-zieloną w trzech cieniach, oraz nitką i bajorkiem złotym. Frędzla przydziergiwana składa się z nitki złotej, z najciemniejszej i najjaśniejszej nitki filozeli.

N. 16. Tło robione szydełkiem do chustki ryc. 28.

1 najc, 2 3 4 najjaś, 1 najc. 2 3 najjaś. 1 najc. 2 3 najjaś, biały
cień oliwkowy ponsowy niebieski

1 ciem. jaśn. zielonawy 1 ciem. 2 3 4 najjaś. sarniobronzowy 1 ciem. jaśniej. fijołkowy.

N. 13. Deseń do serwetki ryc. 12.

N. 10. Czepeczek negliżowy upięty z chusteczki trójkątnej.

Fasonik stanowi kawałek sztywnego tiulu, w środku 10 z brzegów 7 cent. szeroki, w środku w ząb założony, w koło agremanem oszyty, na którym upina się chusteczkę trójkątną muślinową, oszytą koronką drobno plisowaną. Proste brzegi chustki mają 40 cent. długości, cokolwiek zaokrąglony róg obraca się do przodu, dalej układa się chusteczkę w podłużne fałdy, tak ażeby brzeg skośny wypadał przy tylnym brzegu foremki następnie końce drobno przefałdowane i do brzegów foremki przyczepione, upinają się z tyłu w sposób na ryc. 10 wskazany. Z przodu kokarda ze wstążki 5 cent. szerokiej, a do wiązania końce z wstążki wązkiej.

N. 11. Negliżyk ubrany rozetami z wązkiej wstążki.

Foremkę czepeczka stanowi owalne denko ze sztywnego tiulu, mającego 29 cent. długości a 24 szerokości, równo z boków przyfałdowane do 54 c. obwodu, oszyte drucikiem i objęte listewką z muślinu. Na listewce przyszywa się dwie jedna na drugą zachodzące, 4 cnt. szerokie falbanki tiulowe, oszyte wązką koroneczką i ozdobione pukielkami z wstążki, z których spodnia nie dochodzi do środka denka z tyłu. Z przodu nad garnirunkiem, przypięte są pośród falbanki tiulowej, 3 centymetrów szerokiej, oszytej równie szeroką koronką, dwie sute rozety z wąz-

N. 15. Suknia princesse z szarfą, dla panienki lat 10—12.

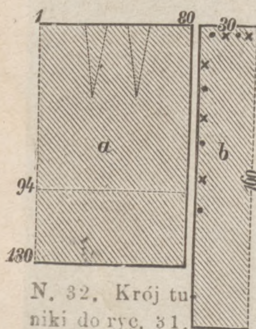
N. 17. Część roboty tła i szlaku szydełkowego do ryc. 35 w N-rze 7.



N. 18—28. Ubr… balowe i wieczorowe.

N. 18. Suknia przybrana koronkami. N. 19. Ubranie wieczorowe. N. 20. Suknia z wyciętym stanikiem z bawetem. N. 21. Suknia ze stanikiem z bawetem z przodu a z tyłu z baskiną frakową. Patrz ryc. 27. N. 22. Ubranie wieczorowe. N. 23. …knia z długim stanikiem z kamizelką. N. 24. Suknia ozdobiona haftem. N. 25. Ubranie wieczorowe dla młodej osoby. N. 26. Suknia z wyciętym kirasowym stanikiem. N. 28. Chustka szydełkowa z włóczki jedwabnej. N. 27. Ubranie balowe. Przód na ryc. 21.

kiej różowej wstążki. W koło nad garnirunkiem dany rulonik z przewiniętej wstążki, zakończony z boku kokardą. denko stanowi owalny kawałek białego tiulu, mający 20 cent. długości a 18 szeroki, cały zagarnirowany wązką koronką i przyczepiony do foremki. Od przednich rozet przechodzi przez denko wstążka 2 ½ cent. szeroka, zakończona u dołu dwoma puklami 30 i 14 cent. długiemi, nad któremi umieszczona rozeta z wązkiej wstążeczki.


N. 32. Krój tuniki do ryc. 31.

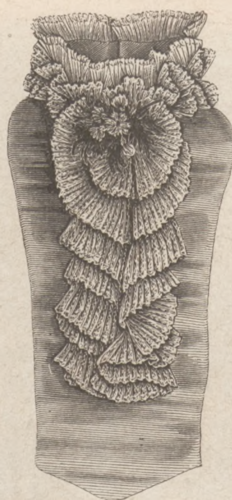
N. 12. Szmizetka ze wstawki i koronki.

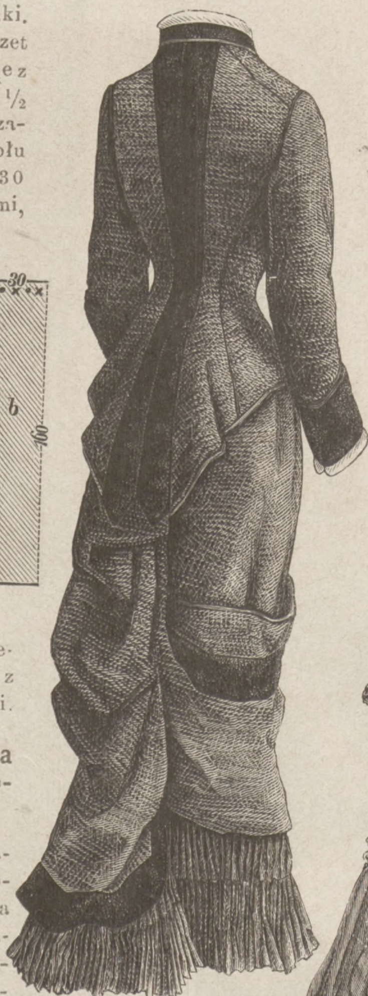
Kołnierzyk stanowi wstawka koronkowa podłożona białą atłasową wstążką, z brzegów ogarnirowana koronką, z tyłu zapięta na guzik, a z przodu ozdobiona kokardą. Z przodu pod wstawką przyczepione są jako szmizetka dwa proste, 12 cent. szerokie kawałki tiulu, z których każden naszyty jest trzema rzędami fałdowanej koronki, zakończonemi wstawką podwleczoną wstążką.

N. 13. Chusteczka garnirowana plisowaną koronką.

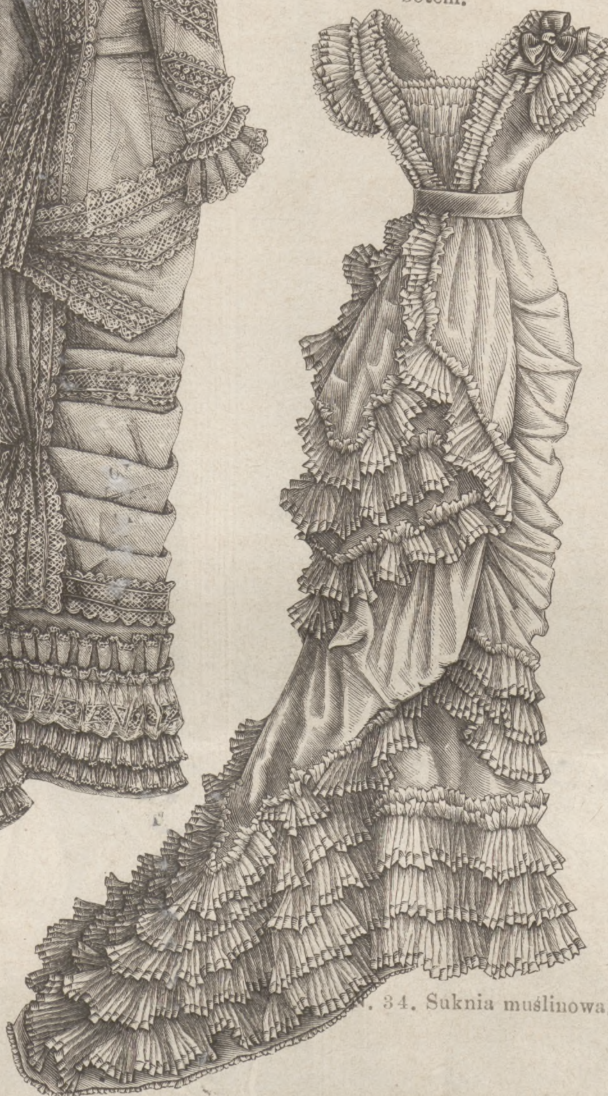
Skośny kawałek indyjskiego muślinu 20 cent. szeroki a 100 cent. długi, w końcach trochę zaokrąglony, oszywa się w koło plisowaną i zaprasowaną koronką 7 cent. szeroką, cerowaną na tiulu. Następnie składa się muślin wzdłuż we dwoje, zaszywa w środku w sposób na ryc. 13 wskazany, zostawia się na chusteczkę 36—40 cent., a końce każden oddzielnie w odmiennym kierunku, przewija się 3—4 razy, układa wachlarzowo i zczepia nieznacznie z lewej strony. Pod szyję zapina się chusteczkę kokardą z wązkiej wstążki.


N. 29. Kapelusz biały filcowy.


N. 30. Kamizelka z żabotem.


N. 31. Ubranie domowe. Patrz r. 32.

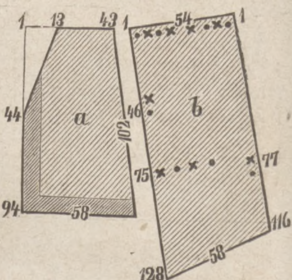

N. 33. Suknia biała muślinowa.


N. 34. Suknia muślinowa.


N. 35. Suknia ze stanikiem z baskiną i upięciem tunikowem. Patrz r. 36.

N. 14—18. Rozmaite modne biżuterye.

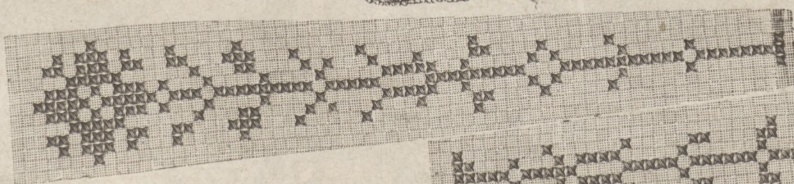
Na ryc. 14 — 18, podajemy różne rodzaje biżuteryi odznaczające się nowością pomysłów i kunsztownem wykończeniem. Bogactwo kamieni walczyć musi obecnie o pierwszeństwo z artystycznem odrobieniem arabesek i pięknością różnokolorowej emalyi.

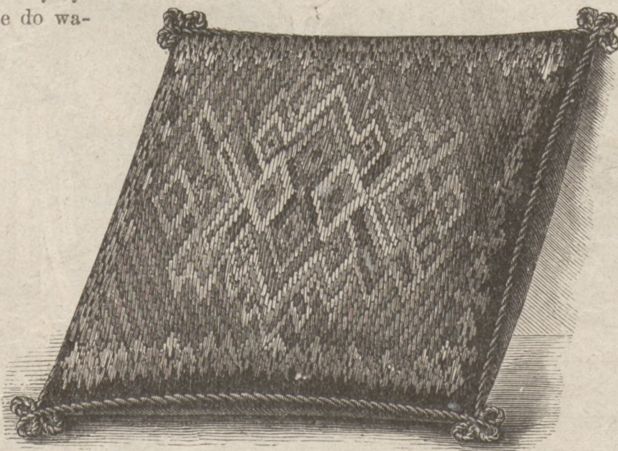

N. 36. Krój tuniki do ryc. 35.

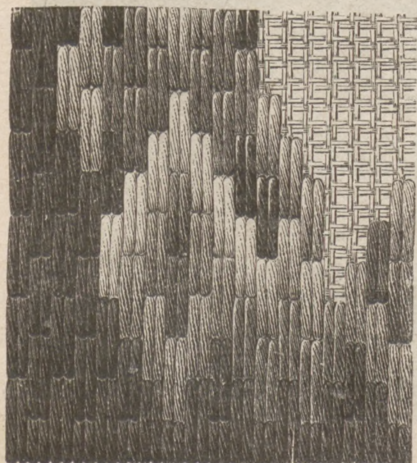
N. 21. Suknia princesse z naszytemi częściami kamizelkowemi.

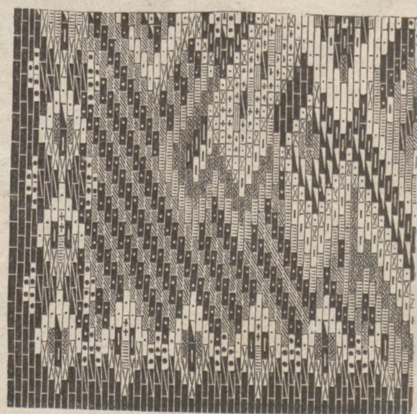
Na przodach sukni z czarnego jedwabnego repsu, naszyte są części kamizelkowe, 64 cent. długie, u dołu plisą z paljowego repsu objęte, z boków naszyte 5 centym. szeroką plisowaną falbanką z czarnego atłasu, podszytego paljowym repsem. Falbanka ta przechodzi dalej przez całą długość drugich części przodów, które od dołu założone są w 4-ry głębokie fałdy, przypięte dużemi szmuklerskiemi guzikami. Przy pleckach z bardzo długą baskiną dodaje się na głęboką, pod spód założoną kontrafałdę, potrzebną do rozszerzenia brytów. Dla nadania lepszej formy trenowi fałdę przeszywa się drugi raz poniżej i spina wielką kokardą. Cały przód zagarnirowany jest bogatą, 30 cent. szeroką frendzlą, której najniższy rząd zachodzi na plisowanie atłasowe 15 cent szerokie. Tren zdobi wązkie plisowanie z atłasu, falbanka repsowa z wypustką, środkiem przemarszczona i takie jak przy przodach plisowanie, naszyte wachlarzowo. Rękawy garnirowane koronką czarną 5 cent., plisowaniem 11 cent. szerokiem i plisą z paljową wypustką, zakończoną kokardą.

(*dok. nast*).


N. 37—38. Wyszycie krzyżykowe do wachlarza rycina 26 w N-rze 7.


N. 39. Poduszka do kanapy, wyszyta na kanwie ściegiem gobelinowym. Patrz ryc. 40—41.


N. 40. Ścieg gobelinowy do ryc. 39.


N. 41. Deseń do ryc. 39.